

Serge Joncour

ULTRAFIOLET

I

- *Cóż znajdę w twoim pałacu?*
- *Znajdziesz się w moim pałacu, a to już wystarczy.*

Ahmed Sefrioui

Biel była z pewnością tym, co dodawało im otuchy.

Niech jakiś nieznajomy popchnie, ot tak, po prostu, metalową furtkę do waszego parku, niech będzie od stóp do głów ubrany na biało, niech ta biel będzie nieskazitelna, a wtedy nawet nie myśli się o tym, by mieć się na baczności.

O tej popołudniowej godzinie słońce zalewało taras bezlitosnym żarem; jedynie Julie i Vanessa były w stanie to wytrzymać. Sądziły, że są same, skorzystały więc z okazji i zdjęły staniczki kostiumów kąpielowych; leżały nieruchomo, myśląc tylko o opalaniu. Mężczyzna zatrzymał się w pewnym oddaleniu. Był nawet na tyle delikatny, że dyskretnie się odwrócił, tak że widać było przede wszystkim okazałą torbę, którą trzymał na ramieniu, oczywiście również białą. Julie włożyła bluzkę, Vanessa owinęła się ręcznikiem kąpielowym, wściekła, że jest prawie naga, ale zasłaniając się, raczej eksponowała goliznę, niż naprawdę ją zakrywała.

Mężczyzna szedł w ich kierunku swobodnym, lekko nonszalanckim

krokiem, charakterystycznym dla ludzi, którzy wiedzą, że są obserwowani.
Spoglądał na prawo

7

i lewo, jakby starał się zapamiętać wszystko, co widzi, i jakoś to ocenić. Refleksy światła odbijające się w jego okularach Ray-Ban przesuwały się z jednego planu na drugi: na szmaragdową zieleń trawnika, mieniającą się niczym aksamit, willę Trianon z białego kamienia, basen u podnóża schodów, pływające w nim przezroczyste fotele, leżaki z drzewa tekowego, także puste, cały ten wyrafinowany i bezceremonialny luksus, atmosferę, w której czuł się jak ryba w wodzie.

Czy już go kiedyś widziały? Szukały w pamięci, nie znajdując odpowiedzi, zwłaszcza że nie domyślały się powodu, dla którego się tu znalazł. Może szukał plaży, a może statku.

Postanowiły być uprzejme. W podjęciu tej decyzji pomogła im delikatność, z jaką zdjął okulary przeciwsłoneczne, taki rodzaj uprzedzającej kurtuazji, jakby chciał sprawić im jak najmniej kłopotu i nie ukrywać wzroku. Zwłaszcza że jego spojrzenie było bez wątpienia drugą częścią propozycji: stalowoniebieskie, skierowane na wprost, jedno z tych spojrzeń, od których odwraca się wzrok, w poczuciu winy wobec tej swoistej ucieczki.

Mężczyzna zwrócił się swobodnie w kierunku Vanes-sy, jakby już się kiedyś poznali, bez skrępowania, ale i bez natarczywości. Słońce świeciło mu prosto w twarz.

Znowu zagubić się w meandrach fałszywej pruderii, określić granice tej głębokiej niechęci, która niekiedy pojawia się od pierwszego wejrzenia, wyznaczyć odpowiedni dystans, od razu dyskryminujący wysiłki drugiej

strony, rozluźnić się, znów spróbować, poczuć się dotkniętym zbyt wielką swobodą, która czasem może się nawet podobać, znaleźć równowagę między delikatnością a uporem...

Philipa tu nie było. Próbowaly określić datę jego powrotu - jutro, dziś wieczorem, a może już za chwilę; z nim nigdy nie wiadomo... Mówiąc to, punktowały wątpliwą niezawodność swego brata, niezbyt się nad nią użalając ani jej nie krytykując.

A jednak mi powiedział...

No tak, sam pan widzi...

W tonie ich wypowiedzi można było wyczuć płacziwą nutę, żal wynikający z rozczarowania. Były doskonale świadome, że cała ta komedia zupełnie niczemu nie służy. Mężczyzna przedstawił się. Boris. To imię coś im mówiło, a kiedy wspomniał o internacie, o latach spędzonych w tym, co przypominało więzienie o zaostrzonym

9

rygorze... Wszyscy zresztą wiedzą, czym są takie miejsca. Odnalazły w jego słowach trochę nienawistnych wspomnień brata o całej epoce spędzonej na buncie przeciwko tresurze, polegającej na wpajaniu zasad przyzwoitości i dobrego wychowania. Rezultatów nie przyniosło to żadnych, a on sam był tego najlepszym przykładem.

Rozległ się cichy śmiech. Znak, że można poczuć się swobodniej. Zawsze, kiedy spotyka się kogoś nieznanego, czuje się pewne napięcie, szczególnie w takich okolicznościach. Ale już na początku próby mężczyzna przeczuwał, że zda ten egzamin. Prezentacja, szczypta anegdotek, staranie, by nie spoglądać gdzie indziej, tylko prosto w oczy... Swobodnie zaliczył tę część.

Z dwóch sióstr to Julie okazała się bardziej wyrozumiała, lub może po prostu bardziej znudzona.

- No więc tak, dziesiątego miał lot z Newport, wiem także, że chciał zatrzymać się na jakieś dwa, trzy dni w Nowym Jorku...
- W każdym razie będzie tu na święto Czternastego Lipca - rzuciła Vanessa, wściekła na siostrę za jej zbytnią szczerość...

I natychmiast poczuła pretensję do siebie, dochodząc do wniosku, że oto pozwoliła tym dwojgu na przejście do dalszego etapu zażyłości. A Julie już rozwodziła się nad detalami dotyczącymi święta Czternastego Lipca, informując, iż Philip każdego roku buńczucznie wystrzeliwał petardy z wysuniętego najdalej na południe krańca wyspy, urządzając spektakl dla wszystkich gości, . a szczególnie dla rodziny. Jej wcale nie będzie brakować tej ceremonii, bo choćby zachwyty nad nią był nie wiem jak bałwochwalczy i jednomyślny, to dla brata stanowiła ona jedyną okazję, by w końcu zabłysnąć, pokazać,

10

jak bardzo jest przydatny. Czternasty Lipca był dla niego dniem chwały.

Boris zilustrował przyjemność, jaką daje zorganizowanie podobnego spektaklu: eksplozje różnokolorowych świateł, odgłosy detonacji, zwielokrotnione echem odbijanym od przybrzeżnych skał, okrzyki widzów, ogólna radość...

Ciągle siedząc, Vanessa otulała się ręcznikiem, jakby nagle zrobiło się zimno, starała się jak najmniej poruszać w obawie przed nadmiernym odsłonięciem ciała. Najbardziej ze wszystkiego dręczyły ją przewidywane skutki tej paplaniny. Chociaż od jakiegoś czasu nie przejmowała się już brakiem konsekwencji w postępowaniu brata, to uznała, że tym razem

przekroczył wszelkie granice. Rzucił siostry po prostu na pastwę tego nieznanego, bez żadnego uprzedzenia, nie powiedział nawet, gdzie teraz przebywa, tak by można go było złapać. Zasłonił się głuchym numerem telefonu, jakby chciał pokazać, że za wszystko zapłaci ryczałtem; tym razem naprawdę okazał krańcową nieodpowiedzialność... No i znowu miała mu za złe, znów wyobrażała sobie, że przywołuje go do porządku, a niepokój brał w niej górę nad złością, jednocześnie zaś cieszyła się na samą myśl o zmyciu mu głowy, kiedy się wreszcie pojawi.

Gdy rzecz dotyczy kogoś bliskiego, bardzo szybko zaczynamy się niepokoić, jeśli telefon komórkowy przestaje odpowiadać i słychać tylko ulatujący w pustkę sygnał. Intuicja podpowiada, że być może dzwoniemy na próżno, wyobrażamy sobie najgorsze. A przecież jeśli chodzi o Philipa, było to coś prawie normalnego, swoisty dodatek do jego braku odpowiedzialności, jego wiecznej dziecinady, z której nie zdołał wyrosnąć.

Zdawkowy uśmiech Vanessy skrywał kłębiące się w niej myśli, już wiedziała, jak weźmie sprawy w swoje ręce i wygarnie mu, co o tym wszystkim myśli. Inni za bardzo przywykli do tego, żeby lekkomyślności Philipa jeśli nawet nie traktować jak zalety, to uważać ją za nieodzowną cechę jego charakteru. Wszyscy pogodzili się już z tym jego brakiem odpowiedzialności, ale ona nadal nie traciła nadziei, że uda się jej w końcu go zmienić.

- Nie mają panie czegoś do picia?
- Oczywiście, że mamy. Vanesso, zajmiesz się tym... ? Vanessa rzuciła siostrze jadowite spojrzenie, oburzona

pełnym wyższości tonem, świadczącym o *tym*, że obecność nawet zwykłego obcego osobnika powoduje u Julie utratę naturalności i narzuca

natychmiastowe wchodzenie w jakąś rolę. Owinęła się szczelniej ręcznikiem i wstała bez słowa, poddając się przeświadczeniu o *straconym* popołudniu, o tym fatalnym, obelżywym zbiegu wielu okoliczności, który burzy w efekcie upragniony spokój, jakby ktoś rzucił zły urok.

Pragnienie spowodowało, że przypominał sobie całą podróż, jakby suchość w ustach towarzyszyła mu przez cały ten czas. Pośpieszny wyjazd, przyprawiające o zawrót głowy doznania podczas wkładania walizek do bagażnika, rozmaite zabiegi i starania, smak chloru w ustach, zawsze ten sam, bez względu na rodzaj wody z kranu, czy to na parkingach przy autostradzie, portowych toaletach, czy to w karafkach przydrożnych kafejek, strumieniach fontann. Ciągłe trudności ze znalezieniem właściwej drogi, uporczywe szukanie jej, jakby chciał ugasić pragnienie i ruszyć. 'ydals^a-ri^dróz według otrzymanych od kogoś wskazówek.

Julie sprawiało radość, że widzi siedzącego przed nią faceta. Napawała się poczuciem przewagi, jaką dawało jej przebywanie na własnym terenie, przewagi pozbawionej arogancji czy lekceważenia; bawiła ją ta małeńka przyjemność, że może dominować nad kimś, kto musi prosić o pozwolenie. Jako dziecko potrafiła zachowywać się naprawdę obrzydliwie pod tym względem, wykorzystywała weekendy, by zaprosić szkolne koleżanki, a następnie despotycznie rządzić nimi. Był to rodzaj pewnej per-wersji. A teraz Boris, nie pytając o zgodę, przysunął sobie krzesło i usiadł. Zdjął okulary i Julie zaskoczył nagle jakiś odblask, jakiś obraz, który przemknął przed nią, wywołując wrażenie zawstydzenia. Poczula się trochę niezręcznie i natychmiast się podniosła.

Pewność siebie okazywana przez przybysza, niepyta-nie o pozwolenie,

brak zgody na włączenie się do jej drobnych gierk nawet się jej spodobały; wzruszało, że jakiś mężczyzna może okazywać taką impertynencję. Przewidywała subtelny rozkosz zwycięstwa, które odniesie, kiedy zachwieje doskonałą równowagą gościa i spowoduje, że poczuje się on nieswojo.

Starannie uczesana, przepasana *pareo*, Vanessa pojawiła się na podeście. Podała Borisowi szklankę, bez żadnych objawów uprzejmości poza nieco skrzywionym uśmiechem. Przyniosła zwykły sok z granatów, który gość schwycił w ręce niczym drogocenną zdobycz. Płyn, który trzymał w dłoni, był miarą czasu, jaki mu został, żeby dziewczyny do siebie przekonać, dopóki szklanka nie będzie pusta. Szklanka soku stanowiła pretekst do zahaczenia się tu, wiedział bowiem, że ostatni stateczek odpływa z wyspy o dwudziestą. Zanim dotknął ustami płynu, kilkakrotnie zakręcił szklanką i ten kontakt

13

nico go ochłodził. Podniósł ją nawet do policzka, potem potrzymał przed oczami. Płynna czerwień... Wszystko, co było przez nią widać - dom, park - skąpane było w czerwonej mgławicy, basen i morze, całe otoczenie zdawało się tkwić w soku z granatu, napoju, który Boris otrzymał do dyspozycji, w rozdeptanym granacie... Nie mógł się opanować, wypił zawartość szklanki jednym haustem i odstawił ją z westchnieniem ulgi. Z prędkością błyskawicy poprosił o następną.

Vanessę zdumiało to grubiaństwo, złagodzone nieco radosnym uśmiechem gościa.

Julie uważała, że po prostu chce mu się pić.

- No co? Nie podasz mi następnej szklanki? - spytała.

Za każdym razem, kiedy upał opasywał wszystko ciasną wstęgą, dławiący niczym gaz, sprzedawca farb zaczynał się bać, czy w sklepie czegoś nie brakuje. Największe wrażenie robiły na nim szablony do malowania czerwonym atramentem, to widniejące wszędzie słowo *niebezpieczeństwo*. Kompensatą za tę trwogę, premią za lęk była duża liczba zamówień. Każdego roku sprzedawał petardy z marżą większą niż doskonała, można by powiedzieć, że z marżą niespotykaną dla drobnego sklepikarza. Te wszystkie *ruggieri*, i tak już droższe niż ich cena bazowa...

Innym zadośćuczynieniem był efekt pierwszego pokazu, gdyż sprzedawca z żoną zawsze byli zapraszani do łoża państwa Chassagne i w ten sposób mogli choć na chwilę dołączyć do grona wybrańców, oglądać pokaz fajerwerków z najlepszych miejsc widokowych. Ale tym razem Philip — „podpalacz”, jak nazywali go między sobą - nie przyszedł zdjąć mu troski z głowy, pozbawiając go tego całego arsenału, i sklepikarz wiedział, że o spokojnym śnie może tylko marzyć.

15

W miasteczku także organizowano pokaz sztucznych ogni; zajmowały się tym władze miejskie. Bledziutkie race, wystrzeliwane co kilka minut przez rozradowanych strażaków, zaskakiwały miernotą niezadowoloną publiczność; była to istna karykatura splendoru. Wobec tego widowiska pokaz młodego Chassagne'a sprawiał wrażenie prowokacji, Czternastego Lipca w pewnym sensie dla arystokracji. Ten wspaniały, majestatyczny balet kolorowych iskier, świetliste refleksy na morskich falach, niczym lustrzane odbicie, te fontanny blasku na czerwonym granicie skał -to było coś zupełnie innego niż czerwone i niebieskie kule prezentowane przez

strażaków z portu... Dwóch czy trzech lekko wstawionych strażaków mieszało radośnie małe butelki piwa z tubkami do strzelania, wystrzelili jedno, by napić się z drugich, co czasem dodawało wystrzałom najmniej spodziewanego efektu, bo powstawał rodzaj piwnych fajerwerków - nieco sflaczałe czerwienie, rżące, bekające tu i ówdzie błękity, aż w końcu publiczność miała tego wszystkiego dosyć i czekała niecierpliwie, że może pod koniec będzie nareszcie ładniej...

Dlatego 14 lipca po zapadnięciu nocy sporo ludzi z Paimpol ciągnęło na północ, niektórzy podejmowali nawet ryzyko, tłocząc się w kilku łodziach, żeby obejrzeć z bliska pokaz dla bogaczy, choćby nie wiadomo jak drogi miał być ten, który organizowało miasto.

Jeszcze tylko dwa dni i wszystko będzie jasne, nie tylko w domu sklepikarza. Okaże się, czym tym razem miasto zechce zadziwić publiczność, urządzić pokaz może nawet na całą dzielnicę. Strażaków czekała chwila próby.

Portowe miasto w Bretanii. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
Gdy tylko rozległy się pierwsze, dobiegające z głębi salonu, akordy muzyki i obie siostry zaczęły dawać znaki komuś z tyłu, Boris podniósł się, gotów na nową prezentację.

Znowu musiał zadbać o odpowiedni wyraz twarzy, wymyślić coś, co zagwarantuje mu sukces pierwszego wrażenia, zająć się całą gamą zachowań, które sprawiają, że od razu można wydawać się sympatycznym i mile widzianym - znaleźć odpowiednie słowa, okazać zakłopotanie, ale nie na tyle głębokie, by wyglądało na zmieszanie, wydobyć z siebie tyle rzeczowości i poczucia humoru, by rozładować atmosferę... Istotnie,

zdumiewający popis. W pełni panował nad odpowiednim dawkowaniem całej tej mądrości, prowadzącej od nieśmiałości do odprężenia, od skromności do zarozumiałstwa.

Ojcowskie pozdrowienie było najmniej pompatyczne ze wszystkich, najcieplejsze, charakterystyczne dla człowieka dość wiekowego, który zdążył złagodnieć, dla patriarchów, którzy potrafią brać wszystko z najlepszej strony, umieją dostrzec w każdej improwizacji, każdej niespodziewanej wizycie jakieś wytłumaczenie i gotowi

17

są dziękować za to przypadkowi. Było to oczywiste, zwłaszcza że stojący naprzeciwko nieznajomy, mężczyzna o szczerym uścisku dłoni i zrównoważonym spojrzeniu, zasługiwał w pełni na to, by wziąć go za osobę godną uwagi.

Dobiegające z salonu dźwięki niosły na zewnątrz wspinający się po oktawach sopran. Ojciec był melomanem - modulował śpiew ruchem dłoni, zaznaczając przerwy, jakby czekając na uznanie, zwracając uwagę na piękno interpretacji. Gdyby Boris rozpoznał arię, potrafiłby powiedzieć, z jakiej pochodzi opery, nie czułby, iż te przerwy jakoś go dyskwalifikują; trzeba szybko zmienić temat.

Ale ojciec chciał na ten temat rozmawiać. Dla niego ta płyta była czymś w rodzaju rytuału, sygnałem zakończenia sjeisty, przypomnieniem, że za żaluzjami nadal świeci słońce, wyrazem entuzjazmu z racji tego, że ciągle trwa lato, haustem pachnącego morzem powietrza, łagodnego wiatru... No i ten gest, kiedy podniósł wzrok, jakby chciał zlustrować niebo. Wszystko to sprawiało wrażenie dobroduszości i sympatii...

Ojciec po sjeście jakby na nowo rodził się do życia. Boris odstąpił mu

swoje krzesło i mógł teraz przyjrzeć się fasadzie domu i ocenić ją bezstronnym okiem. Nie odwracając się, ojciec rozpoczął opowieść o willi, w słowach dalekich od zblazowania i patosu. Według niego dom był wzorowaną na Petit Trianon budowlą z ciosanych białych kamieni, wapiennych skał, przetransportowanych aż tutaj przez przodka starszego pana; istne

Grand Trianon i Petit Trianon - pałacyki zbudowane dla Marii Antoniny w ogrodach Wersalu.

18

szaleństwo. Przodek ów postanowił nie używać występującego w okolicy różowego granitu, chcąc w ten sposób zaznaczyć swoją oryginalność i ducha oporu.

Boris mógł widzieć szeroki hall, piękne, niby bezładnie stojące meble, spowite łagodnym światłem, doskonałe wyeksponowanie różnych ornamentów - wyraz wyrafinowania, nakazującego użycie tylko jednego stylu; dalej przeszklone drzwi, przez które widać było rozciągającą się z drugiej strony domu część parku. Muzyka dochodziła z saloniku po lewej stronie.

- Klarowność harmonii, słodycz sopranu; nic lepiej nie wyprowadzi pana ze sjesty. Znakomita większość sopranów nie daje sobie rady z tym fragmentem. No cóż, właśnie tu kryje się trudność tego dzieła, zaczyna się apoteozą. A pan, w Buzenval, śpiewał może w chórze?

Boris zaśmiał się cicho, co miało oznaczać odpowiedź twierdzącą.

- I nie cierpiał pan z *tego* powodu? Oczywiście, mam

na myśli pobyt w internacie, tę dyscyplinę i rygor...

Jakże nie cierpieć z tego powodu? Internat zawsze kojarzy się z jarzmem, niewolą, odstawieniem na boczny tor i - dlaczego nie powiedzieć wprost? - z zamknięciem. Poranne msze, wieczorne modlitwy, nie najlepsze posiłki, swoboda ograniczona metalowym ogrodzeniem dookoła posiadłości, długie, zimne sypialnie, wspólne pokoje, w których intymność dotyczy jedynie własnej świadomości... To właśnie było najgorsze, ta forma bytowania przypominająca więzienie.

- No i to, że nie można widzieć się z rodzicami.
- Tak, to też.

19

Boris wyrzucał sobie, że sam o tym nie pomyślał.

- Co się tyczy Philipa, z pewnością było błędem, że pozwoliliśmy mu dusić się tam przez tyle lat, prawie osiem. Myśleliśmy, że dyscyplina wzmocni jego charakter, że pobyt w internacie zrównoważy naszą zbyt dużą pobłażliwość. Ten epizod jednakże tylko go rozjątrzył, doprowadził do jeszcze większego buntu. Obawiam się, że stracił tam zdrowy rozsądek, a może nawet trochę rozumu... No, ale pobyt w internacie dał mu okazję do poznania pana, więc widać w każdym nieszczęściu zawsze jest trochę szczęścia.

Boris wyczuł w tych słowach elegancję, nadzwyczajne wyrafinowanie, polegające na umiejętności zakończenia tematu i jednoczesnym

skierowaniu ku rozmówcy grzecznego ukłonu oraz wprowadzeniu odpowiedniego nastroju.

- A pan był już w Stanach?

Kolejny objaw drobnej kalkulacji, stopującej dłuższą odpowiedź; starszy pan nie czekał zresztą wcale na potwierdzenie.

- Cóż to za okropnie nudny kraj! Te niekończące się drogi, ci mówiący zbyt szybko ludzie, zanudzający byle jakimi głupstwami! I nie ma tam nawet porządnego tarasu przy kawiarni, gdzie można by odpocząć. Na prawdę, zupełny koszmar... A wieś? No cóż, niby istnieje tam coś takiego, ale jakże przesadne w rozmiarach, to też powoduje okropną nudę. Jedyne miejsca, które lubię w Stanach, to te przypominające mi Francję...

Słyszając te słowa, obie dziewczyny wybuchnęły szalonym śmiechem, chichotem nie do opanowania. Bywa, że czujesz się obiektem wybuchu radości, chociaż sam nie bierzesz w niej udziału. Ojciec poklepał Borisa po udzie, wyznając, że pozwolił sobie na niewinny kawał,

20

ale w końcu na tym polegała przyjemność - mógł opowiadać różne historyjki... W rzeczywistości jego noga nigdy nie postąpiła na ziemi Stanów Zjednoczonych. Nawet nie dlatego, że odczuwał jakąś szczególną niechęć do tego kraju, po prostu bał się latania samolotem. O Stanach wiedział tylko tyle, ile mógł obejrzeć w amerykańskich filmach. A poza tym brał udział w rodzinnej grze polegającej na wymyślaniu rozmaitych anegdotek, snuciu historyjek na dowolny temat, tym bardziej właśnie teraz, bo czyż nie mamy wakacji, proszę pana?

Ten rodzaj niewinnych mistyfikacji był jednym ze sposobów spędzania wolnego czasu i wszyscy domownicy z radością z tego korzystali. Może więc i nieobecność Philipa to tylko blaga? Może był tu przez cały czas, zadekował się gdzieś, w jednym z pokoiów na górze, za zamkniętymi okiennicami, a może w salonie na dole, by lepiej słyszeć rozmowę...? Bez wątplenia on także uważał uczestniczenie w farsie za świetny dowcip, który mógł przygotować dla swojego starego kumpla z internatu, każąc mu tkwić przez dobre pół godziny w tej dziwnej sytuacji i obserwując jego reakcję...

Boris poczuł się nagle bardzo niezręcznie, chociaż zdawał sobie sprawę, że ta beztroska atmosfera, której koszty właśnie ponosił, to pojawienie się seniora rodu rozładowały nieufność, jaką czuła do niego Vanessa. Widać było, że poprawił się jej nastrój, kiedy mogła sobie z niego pożartować, i to bez żadnej złośliwości.

- A pan, zdaje się, studiował prawo?

I nie czekając na odpowiedź, ojciec formułował komentarz; wyjaśniał, że jeśli chodzi o adwokaturę, to na

21

razie Philip jest jedynie doskonale przykładającym się do nauki studentem, pewnie zalicza teraz dziesiąty rok studiów, nikt tego dokładnie nie wie.

- ...Przynajmniej stał się doskonale dwujęzyczny, co pod względem jego kwalifikacji da mu bez wątplenia wiele możliwości.

Teraz już ojciec się nie śmiał, może umacniało się w nim poczucie braku złudzeń co do syna, któremu się nie udało, uczucie niesprawiedliwości,

połączone z wyrzutami sumienia i jednocześnie pewnej pobłażliwości, bo przecież żeby nie wiadomo jakim geniuszem czy miernotą okazał się syn, to rodzice zawsze szukają usprawiedliwienia, nawet gdyby mieli wziąć część odpowiedzialności na własne barki. Uczucie okazywane tym wyraźniej, że syna tu nie było i nie mógł tego słyszeć.

- Szkoda, zwłaszcza dla naszej posiadłości, rozumie pan. Nie wystarczy być dwujęzycznym, żeby zarządzać ponad stu hektarami winnic... ani nawet by zostać adwokatem. A pan, czym się pan zajmuje?

Boris poważnym tonem odpowiedział, że utrzymuje się z drobnych kradzieży i stosowania różnych kruczków, i że wychodzi mu to całkiem nieźle. Wynajduje sobie rozmaite przekręty, ale największe jego przedsięwzięcie to przemyt środków odurzających...

Towarzystwo wydawało się nieco zakłopotane, w końcu jednak ojciec wybuchnął śmiechem, gratulując gościowi refleksu i poczucia humoru, po czym oznajmił, że obaj powinni doskonale się rozumieć.

Kropka.

W myślach Boris postawił kropkę.

Obie siostry poszły się przebrać.

Nie pokazały się aż do chwili, kiedy usłyszały przeraźliwe krzyki, dochodzące z basenu. Ujrzały ojca, bijącego wodę gwałtownymi, chaotycznymi ruchami, jakby usiłował za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni; stopy ugrzęzły mu w zakamarkach plastikowego fotela. Boris skoczył i zanurzył się pod nim jak ryba, był ledwo widocznym cieniem, prześwitującym niewyraźnie przez spienioną wodę...

Vanessa podbiegła, krzycząc, że ojciec zaraz się utopi, i kiedy szykowała

się do skoku w wodę, zauważyła, że Boris wynurza się, trzymając starszego pana na ramieniu. Ojciec łapał powietrze niczym wyciągany na brzeg ogromny tuńczyk, dusił się, był siny. Już jednak zaczynał się śmiać, zapewniał, że wszystko w porządku, nic się nie stało, po prostu wykręcił taki numer, nie najwyższych lotów, mimo że przysięgał sobie, że już nigdy nie usiadzie w tym idiotycznym fotelu. Był już na to za stary, ale entuzjazm obecnego tu Borisa podkusił go do kąpieli...

23

Obejmując drżącego mężczyznę, przyciskając go do piersi, Boris wspominał dawne noce spędzone na uspokajaniu, niekoniecznie z powodów humanitarnych, innego człowieka. Robił to raczej dla własnego spokoju, by w końcu trochę pospać, szczególnie w tym pierwszym okresie, kiedy Philip bez przerwy się mazał. Początkowo był dla niego surowy, niemal brutalny, ale szybko zmienił postawę, bardziej przez litość niż współczucie. Tak to jest w życiu, że tak zwani mięśniacy odczuwają potrzebę wspierania tych wrażliwszych. To zabieg mający na celu osiągnięcie stanu, w którym ów wrażliwy czułby się chroniony przez drugiego, poddałby się jego wpływom, co w najlepszym wypadku prowadzi do silnego wzajemnego przywiązania, w najgorszym zaś - do dominacji.

Kiedy emocje starszego pana i Borisa opadły, obydwaj stuknęli się serdecznie kieliszkami, wypili po dwa pomarańczowe martini i zaraz potem pan domu zaproponował martini z tonikiem i cytryną oraz trochę ginu. Boris obserwował go z uśmiechem i czuł, że udało mu się przejrzeć gospodarza. Upodobanie do luksusu i opanowania charakteryzowały tego

człowieka - zarówno

24

niezbyt konwencjonalnego, jak i dystyngowanego. Spoglądał na świat realistycznie, a zarazem z rozbawieniem; taki brak większego zainteresowania rodzi się wraz z upływem lat, kiedy wszystko kolejno wydaje się względne. Nie tylko jego zachowanie zdradzało poczucie wyższości i szczególnej godności; mocno zarysowany podbródek, uniesiona głowa, no i to śmiałe spojrzenie, cechujące ludzi, którzy spędzili życie, patrząc daleko, dalej niż ich własny park, ludzi, którzy w naturalny sposób obejmują w posiadanie lwią część rzeczywistości, z przekonaniem, że są u siebie, którzy nie uznają ograniczeń i przeciwności, a o których mówi się, że są *na luzie*, i za to właśnie bywają nienawidzeni, jak też za to, że mają tendencję traktowania świata jak swojej własności, i za arogancję oraz uleganie słabostkom...

Zwykły fakt przebywania tutaj, fakt łatwego znalezienia się w tym otoczeniu oznaczał już trochę zawłaszczenie, przypisywanie sobie jakiegoś prawa. W wyobraźni Borisa ten basen już do niego należał. Kąpiel w dowolnie wybranej chwili - to już znaczny postęp, przywłaszczenie doskonale naturalne, a jeszcze godzinę wcześniej potraktowałby to jak włamanie.

Na tym właśnie polega istota zwrotu będącego rodzajem zdradliwej dyspozycji: „proszę się czuć jak u siebie”, której nigdy nie wolno traktować dosłownie. Ojciec Philipa, przy okazji wypijanych trunków, poprosił, by sam sobie nalewał; „niech pan się czuje jak u siebie w domu” - powiedział.

Po dokładniejszym przyjrzeniu się willi doszedł do wniosku, że nie tak ją sobie wyobrażał. Na ogół wyobrażamy

25

sobie bowiem coś korzystniej, niż się to potem okazuje w rzeczywistości. Z jednej strony dlatego, że opowiada się o czymś, stosując pewne upiększenia, a wyobraźnia coś jeszcze dorzuca do opisu. Ale w tym wypadku było odwrotnie. Chociaż słyszał opis budowli tysiące razy, wyobrażał ją sobie znacznie mniejszą. Nie domyślał się też istnienia schodów prowadzących od podestu aż do wnętrza basenu; nie wyobrażał sobie mozaiki, niewyraźnie pobłyskującej na jego brzegach, w kolorze przybrudzonego błękitu o nieprzewidywalnym motywie, tej przestrzeni, zorganizowanej tak, by maksymalnie przedłużyć perspektywę. Efekt był znakomity - basen stapiał się z horyzontem, a morze wydawało się jego naturalnym przedłużeniem.

Na poziomie ponad stu osiemdziesięciu stopni nad powierzchnią wody trawnik kończył się, zamknięty skałą, co sprawiało, że tuż obok panorama otwierała się szeroko na zatokę. Płynący po spokojnych wodach ostatni w tym dniu stateczek zbliżał się do wyspy. Jego pojawienie się oznaczało ostatnią szansę dostania się na kontynent. Ojciec, przesłaniając dłonią oczy, usiłował dostrzec, czy na pokładzie nie ma Philipa. Sądził, że rozpoznaje jego wysoką sylwetkę, stojącą blisko dziobu. Boris nie poruszył się jednak, nawet nie podniósł wzroku.

Ach, nie.

To nie on.

Szkoda.

Sprawa obiadu nie została poruszona. A w tej kwestii udzieliłby szybkiej

odpowiedzi. Matka napawała się obecnością przyjaciela Philipa, jakby to było oznaką przyjazdu syna, wprowadzającą w lekkie zakłopotanie zapowiedzią, która ją satysfakcjonowała. Ten młody człowiek symbolizował bliskie powitanie, powrót niezwykłego syna. Matka postanowiła wykorzystać okazję i porozmawiać o nim, wyjaśnić niektóre niejasności, te dziwne nieobecności i fazy niepokoju, znaczące jego życie.

Odczuł pewien rodzaj zakłopotania, że tak serdecznie go przyjęła, ucałowała na powitanie, długo z nim rozmawiała, trzymając za rękę. Nie był przyzwyczajony do takiego traktowania podczas drogi, jaką przemierzają ku sobie dwie nieznajome osoby. A największą egzotyką tego rodzinnego schematu było to, że ludzie okazywali się łagodniejsi, wrażliwsi, bardziej przewidywalni.

Na tarasie ustawiono dwa parasole z kremowego płótna i nakryto do stołu. Pojawił się duży biały obrus, lecz

27

choć był nieskazitelny, nie sprawiał wrażenia wykwintnego. Ojciec zaraz za to przeprosił, czując się winnym uchybienia wobec tak szacownego gościa. Boris poklepał go czule po plecach i jednym haustem wypił przyniesiony właśnie aperitif.

Ubrania służyły jedynie do tego, by wachlować ciepłe od słońca ciała. Wszyscy wykonywali ten sam gest, chwyтали koniuszkami palców materiał i wachlowali się, próbując złapać choćby najmniejszy powiew wiatru. Andre-Pierre nie wykonywał tego gestu. Andre-Pierre usiadł przy stole, żeby zjeść obiad. Andre-Pierre miał koszulę zapiętą pod szyję, bo tkwił tam odpowiedni guzik.

Przed chwilą uściśnął nieznajomemu rękę z takim samym dystansem i dezaprobatą, z jakimi przywitałby się nazajutrz ze szwagrem. Boris był przyjacielem Phi-lipa, uczucia stały się więc jeszcze bardziej wyraziste, toteż Andre-Pierre okazywał impertynencję, która emanuje z każdej białej koszuli, zwłaszcza wobec opalonego, odsłoniętego torsu, muskularnego, nieobawiającego się obnażenia. Dla wielu osób byłby to jedynie nieważny szczegół, ale Andre-Pierre widział tylko tę odsłoniętą pierś, tę wyeksponowaną niestosowność, jakby ciało zamierzało manifestować swoistą dumę.

Właśnie dlatego nie lubił nadmorskich miejscowości, nie znosił również słońca, nigdy nie schodził na plażę, nie kąpał się. Dlatego właśnie, by nie natknąć się na taki opalony bezwstydn... I oto proszę, teraz miał przed nosem taki wzorcowy egzemplarz owego bezwstydu. Zaproszono do stołu jednego z tych plażowiczów, siedzącego w niedbalej pozie, a w dodatku posadzono go naprzeciwko niego! Tego intruza, który w dodatku dzisiejszego wieczoru cieszył się szczególnym prestiżem ze względu na

28

fakt, że stanowił nowość; dlatego wszyscy zbyt gorliwie śmiali się z jego żarcików, gotowi spełniać każde jego życzenie. Skupił na sobie całą ich uwagę.

Uwadze Andre-Pierre'a nie umknęło również, że przygotowanie się do posiłku zajęło Vanessie mnóstwo czasu. Nałożyła też makijaż, jakby chodziło o większe wyjście. O Julie nie warto nawet wspominać. Do swojej manii ubierania się krótko dodała specyficzny sposób chodzenia, wydłużyła krok, aby jak najbardziej wyeksponować nogi, co sprawiło, że lepiej można było domyślić się tego wszystkiego, czego nie było widać.

Andre --Pierre dobrze znał obie siostry, a także wątpliwej jakości poczucie humoru, które czasami ogarniało rodzinę jego żony, tę skłonność do błazenady. Tak więc doszedł do wniosku, że obie panie rzuciły sobie wyzwanie, która z nich będzie bardziej uwodzicielska dzisiejszego wieczoru; taka niby niewinna gra, do której skłaniał je temperament.

On sam starał się nie robić niczego, prezentując swoistą niedbałość wobec żony i szwagierki. Nie próbował ich bawić przy stole, wyrwać z ewentualnej nudy, tym bardziej że uważał za wielce nieprawdopodobne, by matka trzyletnich bliźniąt mogła się w ogóle nudzić. Byli tu już od dwóch tygodni, ale on jeszcze nawet nie spróbował zająć się łodzią, a ponieważ ojciec był za stary na żeglowanie, żaglówka wciąż spokojnie stała w porcie, i to nie na kotwicy, lecz po prostu na łańcuchu. Natomiast motorówka nie opuszczała hangaru i jej obecność w tym miejscu definitywnie przekreślała perspektywę skorzystania z nart wodnych.

29

A morze, które mieli pod nosem, które jeszcze kilka lat temu traktowano jako miejsce nieustającej zabawy, podbojów i szpanowania w każdym tego słowa znaczeniu, dzisiaj jawiło się jako obiekt roztargnionej kontemplacji, wspomnień widoków z pokładu i dawnych rejsów... Teraz jedyną rozrywką pozostawał basen.

Oczywiście, w dole była plaża, tuż-tuż, ale do niedogodności, jaką stanowiła ciżba plażowiczów, dochodziło niemiłe wrażenie, że postępuje się tak jak wszyscy inni. Wystawiać ciało na uderzanie fal, pogodzić się z uczuciem zażenowania z powodu przebywania w tłumie półnagich, naoliwionych torsów, poddawać się nastrojowi mijającego czasu - oto

dlaczego dziewczyny już tam nie chodziły, chyba że wieczorem, kiedy z piasku uprzątnięto parasole, a wraz z nimi znikali ludzie. Jako małe dziewczynki, siostry spędzały na tej plaży wszystkie wakacje, upływające na pływaniu wśród alg i na przesypywaniu piasku. A ponieważ w tamtych czasach nie było tu ani basenu, ani łodzi, bo pieniądze wydawano wtedy na bardziej praktyczne rzeczy, plaża stanowiła jedyną rozrywkę.

W połowie posiłku Borisowi przyszło do głowy, że mógłby z niewinną miną rzucić na stół paczkę skrętów. Z pewnością dziewczyny nie przepuściłyby okazji, żeby zapalić, i pewnie nawet by się nie zakrztusiły. Rodzice zaś byliby bez wątpienia zażenowani. Poklepał dyskretnie paczką po udzie Julie. Spojrzała na niego zdumiona; czemu nie, może później, kiedy zostaną już tylko we troje.

Od czasu do czasu Boris przyglądał się Vanessie, zafascynowany doskonałą harmonią widoku. Po obu jej stronach siedziały dzieci, a ona przeczesywała palcami

30

ich włosy, kolistym delikatnym ruchem, bezwiednym i zdradzającym rozczarowanie. Andre-Pierre odnotował spojrzenia Borisa i czatował na oznaki zmywy między tych dwojgiem, na porozumiewawcze spojrzenia. Chciał wiedzieć, czy znali się już wcześniej, a teraz starali się niczego po sobie nie pokazać... Jeszcze jedna z tych idiotycznych obaw, mania dopatrywania się wszędzie ukrytych znaczeń; wystarczy wziąć coś na uspokojenie, i po sprawie... Miał przed sobą swoje dzieci i mógł poczuć się pewniej, choć przecież to były także jej dzieci; czasem myślał o tym z niedowierzaniem i nieufnością. Nie lubił tego typu. Jego obecność

tworzyła atmosferę stronniczości; tęsknił za posiłkami z poprzedniego dnia, tymi miłymi chwilami spędzonymi we własnym gronie, gdy nikt właściwie się nie odzywał, a obowiązek prowadzenia rozmowy ustępował miejsca znajomej rodzinnej ciszy. Jeszcze wczoraj przy spożywaniu obiadu słyhać było jedynie dźwięk sztućców i uwagi o daniach, ważne spostrzeżenia na temat dzieci, a dzisiaj przy stole zapanowało niezwykle ożywienie, hałas jak podczas bankietu. Wystarczyła obecność jednego obcego biesiadnika, by zatruć spokojną atmosferę, panującą do tej pory. Było też nieprawdopodobnie wprost gorąco, a wszyscy uparli się, żeby jeść na zewnątrz. Ojciec przypominał dawne czasy, dziewczyny dorzuciły swoje anegdotki, matka nie przestawała się uśmiechać, nawet dzieci zdawały się uczestniczyć w rozgrywającym się spektaklu dorosłych. A ta staranność Borisa, z jaką wszystkich obsługiwał! Brał butelkę wina, jakby był jej właścicielem, ponaglał biesiadników do opróżniania kieliszków, by móc na nowo je napełniać, bez żadnej klasy, niezbyt grzecznie, za to autorytatywnie.

31

Dla Andre-Pierre'a najbardziej nieznośne było właśnie to: sposób, w jaki ten człowiek zwracał się do wszystkich, spontaniczność, z jaką nazywał teściów „ta-tusiem” i „mamusią”, podczas gdy on sam, po ośmiu latach małżeństwa z ich córką, jeszcze się na to nie zdobył. I ta mania pokazywania zębów, ten nieustanny uśmiech, irytujący niczym zajączki puszczane lusterkiem. Błyskał zębami bez przerwy, by uśmiechać się do Vanessy, i to bez żadnego powodu. Nawet kiedy podawała mu swój kieliszek do ponownego napełnienia, uśmiechał się do niej. Czasem doprowadzał ją do śmiechu i kiedy mu dziękowała, śmiała się.

Atmosfera wymienianych grzeczności, szafowanie wyrazami sympatii - wszystko to poruszyło go do głębi, powodując zarazem uczucie przesyty. Nawet dzieciom miał za złe, że się śmiały i robiły głupie miny, bo do nich także ten irytujący przybysz się zwracał; pewnie umizgiwał się do nich z zamiarem pozyskania ich sympatii. A one były zachwycone. Ich radosny śmiech podnosił jeszcze temperaturę nastroju, stanowiąc dodatkowy hałas, który zagłuszał wszelką rozmowę. W pewnej chwili Boris wsunął rękę pod serwetkę i zrobił z niej kukielkę; dzieci podniosły wrzask, na pół radosny, na pół przerażony. To było naprawdę nie do zniesienia... I chociaż robiły zamieszanie, wrzeszczały jak opętane, przewracały swoje szklanki i nie tknęły deseru, nikt nie zwracał im uwagi, nie zgłaszał zastrzeżeń. Dopiero Andre-Pierre przerwał te wybryki stanowczymi słowami: „dosyć tego”. Rozkaz zabrzmiał tak ostro, że Boris wziął go również do siebie, niezbyt zdziwiony, że Andre-Pierre został wytrącony z równowagi.

32

Dwie małe istotki znieruchomiały z grymasem przestachu na buziach, z ustami ułożonymi w literę „O”, patrząc z niedowierzaniem i lękiem. Zwróciły wzrok na pozostałych biesiadników, by się przekonać, czy powinny śmiać się, czy płakać.

Ojciec, matka, obie siostry - wszyscy niechętnie odnieśli się do nagany, zapewniając, że dzieci nie zrobiły nic złego, przecież w końcu są wakacje. Dziadek posunął się nawet do takiej impertynencji, że również zrobił kukielkę ze swojej serwetki... Wtedy Andre-Pierre z zaciętym wyrazem twarzy wstał i odszedł od stołu.

- W porządku, zostań tu - rzucił za nim Boris, jakby odchodzącego ktoś wypłasał.

Tego było za wiele.

On już mówił mu „ty”.

O tej wieczornej godzinie morze jest spokojne, fale lekko uderzają o brzeg, niektóre dopływają aż do kamieni, liżąc po drodze piasek i wyrzucając tłuste zanieczyszczenia, jakie gromadzą się w wodzie w ciągu dnia. Woda oczyszcza się w ten sposób ze wspomnień ciał, lśniących od kremów do opalania i kropel potu. Ma całą noc na odnowę, na niekończące się porządki i pojawienie się w pełnej krasie o świcie, gdy wygląda jak nowy Eden.

Ostatni stateczek dawno już odpłynął. Wyspa ofiarowywała swój spokój wyspiarzom, niezbyt licznym, oraz kilkorgu wybrańcom, którzy wobec braku kempingu mogli tutaj przenocować w jedynym hotelu.

Nocnemu wyludnieniu towarzyszył brak światła, zwłaszcza od strony pełnego morza. Po zapadnięciu nocy nie było na wyspie palących się wzdłuż dróg latarni, żarówek na dworze, bo domy oświetlano skąpo, zamykając szczelnie okiennice. Wszystko po to, by nie zakłócać żeglugi, nie mylić kursu statków, które wybrzeże mogłyby wziąć za kanał między głębią a podwodnymi skałami. Przy tym nieodgadnionym morzu, zagubionym w ciemności, ziemia także zdawała się niezbadana, wystarczył

34

krok, by się zgubić, wpaść w czarną przepaść. Mrok był tu równie niebezpieczny jak nadbrzeżne skały, bo tylko księżyc czasami oświetlał rzeźbę terenu. Dzisiejszego wieczoru nie było go jednakże na niebie.

— Może poszlibyśmy na mały spacer...?

Zdumiała ich myśl, że ktoś mógłby przypuszczać, iż

w willi nie ma tego wszystkiego, co pozwala mi spędzić wieczór. W świetle świec siostry porozumiały się wzrokiem, zanim spytały o zdanie ojca, który także się wahał. W końcu było jeszcze za wcześnie, żeby iść do łóżka, przeszli więc od niezdecydowania do entuzjazmu, powtarzając krótkie pytanie, coraz bardziej przekonani o słuszności propozycji.

- Chyba że boicie się ciemności...

To on brał na siebie ich ochronę. To on mówił tak, jakby doskonale znał wyspę, rozważył wszelkie zagrożenia i wiedział, jak ich uniknąć.

Dobrze, bardzo dobrze, trzeba tylko posprzątać po obiedzie. W tym momencie pomyślał o kostiumach kąpielowych, na wypadek gdyby woda nie okazała się zimna, ale nic nie powiedział, uznając, że improwizacja będzie zabawniejsza.

Ze swojego pokoju Andre-Pierre dobrze widział przygotowania do wyprawy, czuł jednak, że ogarnia go gnuśność, która nie pozwala dołączyć do zebranych na dole. Środek uspokajający złagodził uczucie niechęci i Andre--Pierre poczuł się dobrze w swoim pokoju, z książką, na świeżych prześcieradłach. W miarę jak się oddalali, na szmer ich głosów nakładał się szum morza, a potem głosy umilkły i pozostał tylko odgłos fal.

- Czasem, kiedy tak sobie idę, powietrze przynosi mi słowa, tak wyraźnie, jakbym naprawdę je słyszał... *Dobra wróżko, która srebrzysz antyczne listowie, zwróć ku nam swoje bezchmurne oblicze...* Jak to było dalej?

Boris słuchał w roztargnieniu monologu ojca, skupiony na widoku dwóch białych sylwetek, które szły przodem. Obie te sylwetki zlały się w jeden jasny kształt, który falował tajemniczo w czerni nocy. Czasem zatrzymywały się, żeby poczekać na ojca i Borisa, pokazać światła statku towarowego, latarnię morską, spadającą gwiazdę, a potem znów oddalały

się na pewną odległość.

Zbyt szczęśliwy, żeby odmówić sobie spaceru po obiedzie, ojciec nadal snuł opowieść, nie wątpiąc, że jego gość słucha z należyłą uwagą.

Czasami brał go pod rękę, potykając się na nierównościach terenu i błędząc wzrokiem po niebie.

- ...Ze też tej dobrej wróżki nie ma tu dzisiejszej nocy, że też poskąpi nam swojego spojrzenia. To byłoby niepokojące, nie sądzi pan?

36

Boris zgodził się z tym, choć z pewnym powątpiewaniem, zafascynowany obecnością morza w dole, słyszalnego, choć niewidocznego.

- Ta wyniosłość ciał niebieskich, i to tylko dlatego, że wiedzą, iż nas przeżyją... Ale wracając do *Normy*, zdaje się, że wystawiał ją pan co roku na imprezie dobroczynnej ...
- Tak. Co roku.
- Jaka szkoda, że nigdy tego nie widziałem. Ale cóż, w tamtych czasach zadowalałem się wysyłaniem czeków co semestr, a sumy, na które opiewały, nie pozwalały mi wątpić, że zapewniam Philipowi edukację najlepszą z możliwych. Jestem pewien, że pańscy rodzice stwarzali sobie podobną iluzję... Przecież wśród pańskich przodków można znaleźć uchodźców z tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, tak to już jest...

Borisa doprowadzały do pasji pytania natury osobistej, potrzebował dużo czasu, zanim odpowiedział. Nie był przyzwyczajony do zwierzeń, zdobywał się na nie tylko wówczas, gdy chciał odwrócić czyjąś uwagę, zmylić trop, doprowadzić do mylnych wniosków...

Obie siostry oddaliły się już na znaczną odległość. Po obiedzie Boris zauważył łąpczywość, z jaką rzuciły się na paczkę skrętów. Ten ich żarłoczny uśmiech, zdradzający podniecenie... Uznały, że papierosy są trochę za mocne, ale zaciągały się z wyraźnym upodobaniem. Od tamtej chwili obserwował je, zastanawiając się, co będzie dalej. Czekał na dalszą ewolucję. W idealnym porozumieniu obejmowały się w pasie, rozmawiały ze sobą półgłosem, śmiejąc się od czasu do czasu. Bez wątpienia musiały rozmawiać o nim, choć mogło się tylko tak wydawać. Podniosło to jednak Borisa jeszcze bardziej na duchu.

37

Już teraz były mu wdzięczne; w końcu to dzięki niemu ta nocna przechadzka doszła do skutku, a noc służyła do czegoś innego niż zwykle przygotowania do następnego dnia. Siostry od dawna już nie krążyły po wyspie z powodu wszechobecnej czerni, przyptywów, które zmieniały kształt linii brzegu — istna algebra, plątanina współczynników pokrywających znaną dotąd trasę, suma niebezpieczeństw, które ojciec przypominał nieustannie zdenerwowanym głosem, co miało je zniechęcić do samotnych spacerów, zwłaszcza że starszy pan nie czuł się już na siłach, by im towarzyszyć i chronić je. Nie ryzykowały więc samotnych przechadzek właściwie tylko dlatego, by nie niepokoić innych.

- Dlaczego wybrano dla pana rosyjskie imię?
- Bez wątpienia był jakiś powód...
- Tak sędzę... Dziwne jednak, że umieszczono pana w katolickiej instytucji. Ale wracając do internatu, proszę mi powiedzieć, jak to było. Wydaje się, że Philip któregoś roku zagrał tytułową rolę, tak mi

przynajmniej powiedział. Czy to prawda?

- Oczywiście, że tak...
- Ale dlaczego właśnie on, w tej roli?
 - Bo tam nie mieszkały dziewczyny. Był naprawdę wspaniały, proszę mi wierzyć... Niech pan go sobie wyobrazi w tej scenie, długiej i spokojnej, z nami wszystkimi powtarzającymi refren, wszystko takie polukrowa-ne, cudowne... Pan nie może tego wiedzieć... A poza tym w tamtym czasie Philip miał wysoki głos i taki sposób poruszania się na scenie, naśladowania starszych... Nigdy bym nie przypuszczał. Tamtego dnia, przysięgam panu, to on był wielką gwiazdą, wszyscy byli przekonani, że robi prawdziwą karierę...

38

Siostry oddaliły się tak znacznie, że już nie było ich widać. Ojciec, nadal pod wpływem głębokiej emocji, nie odzywał się przez jakiś czas. Ścisnął tylko mocniej ramię Borisa, jakby chciał w ten sposób wyrazić mu swą wdzięczność, że oto mógł odczuć prawdziwą, choć nieczęstą satysfakcję z powodu swojego syna, pierwszą od tak dawna... Rzadko ktoś mówił o nim tak dobrze, w dodatku ze skrywaną miłością i ślepym uwielbieniem, jakie odczuwają wobec siebie wierni przyjaciele, teraz już dorośli mężczyźni. Boris wyczuwał ten jego nastrój, zdawał sobie sprawę, jak bardzo ojca rozczuliła wizja własnego syna na scenie, więc grał dalej na tej czulej strunie.

- Proszę sobie wyobrazić, jak wszystko staje się łagodne, dźwięki skrzypiec to dobiegają, to cichną, coraz wolniejsze, zupełnie jak morze, właśnie, jak morze, które się uspokoja, a potem zapada w bezruch... To

właśnie w tym momencie on się ożywił, trzymał nutę możliwie jak najdłużej, jakby chciał okazać dumę z faktu, że może dominować nad nami wszystkimi... Bardzo go lubiliśmy, wie pan, zapewniam, że to prawda, wszyscy bardzo go lubiliśmy...

Ojciec był poruszony, słysząc drzenie w głosie spryciarza, drzenie zabarwione jakimś przeczuciem...

Biała sukienka Julie mignęła gdzieś w przodzie, jakby na przeciwnym krańcu ziemi. Na pełnym morzu sygnalizacyjne światła statków tworzyły doskonałą konstelację, taką samą jak na niebie, równie klarowną, co pełną kontrastów, zupełnie jakby tego wieczoru gwiazdy także stały się statkami i płynęły sobie swobodnie w górze i jak tamte drugie w dole.

39

Kiedy dołączyli do sióstr, ojciec wygłosił komentarz na temat promiennego wyglądu swych córek, których już od dawna nie widział tak radosnych i pięknych. Na próżno jednak próbował mówić o czymś innym, sprawiać wrażenie człowieka na luzie, bo targały nim wyrzuty sumienia, widmo wspomnień o synu, wspomnień, których nie miał, wyrzuty, że nigdy nie udało mu się widzieć go w takich korzystnych sytuacjach i że nigdy nie miał powodu, aby być z niego dumnym. Philip w *Normie*... Dzisiejszemu dniu zawdzięczał ten wspaniały obraz swojego syna i trzeba było aż przyjazdu tego nieznanego, aby obraz ten się pojawił.

Znajdowali się teraz na najbardziej wysuniętym na północ skrawku wyspy, ostatnim kawałku ziemi, która w dole grodziła drogę morzu. Skały poniżej otoczone były tumultem fal, oblewane nimi niczym gotującą się lawą. Powyżej światło latarni morskiej migotało z dźwiękiem

przypominającym trzaskanie z bata. Zewsząd zdawało się emanować napięcie, rodzaj dziwnego podniecenia, jakie odczuwa się niekiedy w rozpacz. Morze było czarniejsze od nocy, jakby powleczone laka, niezdrowe i kuszące zarazem. Boris, który nie znał tych okolic i nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństw, wcale się morza nie bał.

Oprócz nowych widoków odkrywał tu cały wszechświat, tę zebraną w komplecie rodzinę, wszechświat, w którym nikt nie martwi się tym, co przyniesie następny dzień i co się będzie robić, wszechświat, z którego czuł się wykluczony, tak że dokuczała mu zazdrość, złość, szydercza pewność, że przecież umiałby się w nim odnaleźć... Zbliżył się do wody, odpinając pasek, i rzucił w kierunku kobiet, jak wyzwanie: więc jak, idziecie?

- No proszę, nie pomyślałyście o tym...

40

Ojciec wpadł w panikę, widząc córki podążające za Borisem. Protestował, przypominając, że to nie jest najlepiej wybrane miejsce, morze było tu najbardziej wzburzone. Nadawał swym słowom dramatyczną intonację, powoływał się na zdradzieckie prądy, na wiatr, który może się zerwać w każdej chwili... Ale wszystko na nic. Słyszał oddalające się coraz bardziej śmiechy całej trójki, choć nikogo nie widział. Pokonany, pomyślał po prostu, że będzie, co ma być, i rozpoczął powrót do domu ścieżką, którą znał na pamięć.

W otaczających zewsząd ciemnościach nocy najpierw zanurzyli w wodzie tylko stopy, zaskoczeni brutalnością kontrastu temperatury. Wiedzieli, że aby się przyzwyczać do chłodu wody, należałoby zadać sobie gwałt. Zanurzali się jednakże stopniowo w tę czerń. Dochodziła im już do kolan,

otaczała uda, przepływała między nogami, podchodziła do brzucha i zaskoczyła, podchodząc do piersi... Wtedy ręka Julie odnalazła dłoń Borisa, dodatkową podporę umożliwiającą całkowite zanurzenie. Osłodziła sobie tę gorycz, chwytając drugą ręką ramię Vanessy; nie chciała zostawić jej samej.

To Boris wpadł na pomysł, żeby dopłynąć do Gulf Stream, jakieś sto metrów od miejsca, w którym się znaleźli, no może dwieście... Dlaczego nie? W imię niepisanych zasad podążyły za nim, jakby zabawa dopiero teraz miała zastąpić dotychczasową nudę. Poczwały odrobinę niepokoju, bezradności i braku odpowiedzialności, ogarnęło je uczucie, że teraz trzeba zdać się na kogoś, choć nie jest się go całkiem pewnym, nie ma się doń pełnego zaufania. Zdawały sobie wszakże sprawę,

41

że właśnie na tym polega cała pikanteria sytuacji... Boris płynął przodem, coraz szybciej, jakby chciał je zgubić. Stał się w końcu bladym śladem na powierzchni wody, który oddalał się coraz bardziej.

Odwracając się, Julie nie widziała już punktów orientacyjnych; z przodu też nic nie było widać, pod spodem czuło się tylko głębię. Poza gwiazdami i oczywiście Vanessą nie było wokół nic stałego. Przełknęła ślinę wraz z odrobiną morskiej wody, a potem podpłynęła do siostry, nagle wściekła na tego faceta, za którym próbowała mimo wszystko podążyć, na tego mężczyznę, którego miała ochotę teraz przeklinać, choć jednocześnie pragnęła znaleźć się w jego pobliżu, mężczyznę, którego trzeba było dogonić, bo bardziej bała się zawrócić, niż popłynąć za nim.

A on, tam z przodu, uparcie płynął dalej, jakby napawał się smakiem

jakiejś zemsty, odczuwał satysfakcję, chciał zobaczyć, jak daleko mogą się posunąć. Wystarczyło tylko zanurzyć się w tym czarnym, jakby pokrytym laką morzu i już obdarzyły go zaufaniem. Czyż można doznać większej satysfakcji?

Była jeszcze i obsesja poddawania się niebezpieczeństwu, potrzeba otworzenia okien przy szalejącej burzy, doprowadzenia wszystkiego do ekstremum - zarówno ludzi, jak i sytuacji, myśli i czynów, a także błędów, tylko po to, by zobaczyć, jak to jest. Jednak się zatrzymał. W ciszy, zakłócanej jedynie chlupotem fal, pozwolił im do siebie dopłynąć, skulony w czerni bezkresnej nocy. Z góry cieszył go bezwstyd dwóch nagich ciał, płynących w jego kierunku.

Wybrzeże zbudowane z różowego granitu ma w sobie coś patetycznego, prezentuje staranność, by nie poddać się erozji, ukazywać miejsca poszarpane, poszczerbione na skutek różnych wypadków, jakby poszczególne fale, które się o nie rozbijały, padały przez to ofiarą tych uderzeń. To tak jakby za każdym razem chodziło o bitewne starcie... Chyba że sama skała także na tym cierpi, niepotrzebnie obolała skała... Tak jest od zawsze, i będzie tak aż do czasu, gdy się podda i pokonana ostatecznie wyspa zniknie wśród odmętów.

Ponieważ nie ma już słońca, a wiatr hula i staje się złowieszczy, przybrzeżne wody upodabniają się do wściekłych wirów, chaotycznej, wytryskującej aż do nieba magmy. Cały obszar morza zdaje się wariować, rzucając do walki bezwstydne fale, gotowe się zatopić na końcu swej drogi, mszcząc się przy tej okazji. Marynarze nie mają zaufania do podobnych miejsc i wolą nie wpływać do takiego labiryntu, usianego groźnymi lejami. Kiedy morze się cofa, podwodne skały wynurzają się,

zatoka zdaje się terenem wyżłobionym po powodzi, usianym wodnymi jęzorami, żywszymi od górskich potoków. I za-

43

raz potem morze znów się kołysze, nabiera oddechu i galopuje w przeciwnym kierunku, pokrywając całą przybrzeżną strefę, port i statki, wlokąc za sobą spóźnialskich i cofając się ochoczo za chwilę, ciągnąc wszystko, co znajdzie na swej drodze na otwarte wody, zgarniając daninę należną za czas wytchnienia, kiedy przestaje atakować.

To dlatego na tak wielu tutejszych skałach ustawiono krzyże; te głębiny napiętnowane są katastrofami i zatonięciami.

Żandarm stał na dziobie pustej łodzi płynącej przez zatokę. Tego ranka było za wcześnie na obecność ludzi, którzy, zważywszy na pogodę, woleli raczej wylegiwać się w łózkach niż zażywać kąpieli. Po nocnej burzy pozostały jedynie strzępy chmur na niebie, zimnych chmur, targanych wiatrem. Burza rozpętała się późną nocą, gdzieś około drugiej nad ranem, i trwała z przerwami aż do świtu. Z daleka dochodziły jeszcze ostatnie grzmoty, głuche odgłosy odwrotu, jak ostatnie akordy kończącej się zabawy. Wyspa, zarówno od strony lądu jak i morza, wydawała się wyludniona, wyczerpana po burzliwej nocy.

Żandarm nieuważnie odpowiadał kapitanowi, który bez przerwy zadawał mu pytania, powtarzając każde zdanie, żeby przekrzyczeć hałas czyniony przez fale. Starał się czegoś dowiedzieć na temat znalezionego nad ranem ciała, bo im więcej będzie wiedział, tym więcej będzie mógł przekazać innym.

Żandarm miał twarz nieprzeniknioną niczym sfinks, ale starał się

przykładać do odpowiedzi, choć tego typu historie stanowiły dla niego rutynę. Co roku było tak samo - w tym zamęcie stateczków, łodzi, zatoczek i let-

44

ników, kiedy zdarza się burza i wyjątkowo duży przypływ, za każdym razem morze pobierało haracz. Najczęściej zawiadamiano o zaginięciu, zanim odnalezione zostało ciało.

- Wydaje się, że tym razem nikt o zaginięciu nie wiedział...

Okolo dziesiątej rano dom był jeszcze pogrążony we śnie. Na zewnątrz wszystko wyglądało tak, jakby wczorajszego upału w ogóle nie było bądź też pozostało po nim jedynie odległe wspomnienie. Mżawka powodowała totalny pesymizm; niektórym przychodziła do głowy myśl, że już wszystko skończone, słońce więcej nie powróci, a morze będzie się dąsać nieskończenie długo, co oznaczało zmarnowane wakacje, bez żadnych perspektyw. Żałowano nawet zgiełku, jaki panował poprzedniego dnia na plaży, krzyków, tłumy ludzi, których ściągnęła piękna pogoda.

- Proszę się nie martwić, pogoda zmienia się tu bardzo często... Sam pan zobaczy, w południe zrobi się tak gorąco, że będzie trudno wytrzymać.

Ojciec już od dawna był na nogach. To on powitał Borisa w kuchni, wstawił kawę do mikrofalówki i zajął się tosterem, by zrobić grzanki.

- Mam nadzieję, że nic czuje pan do mnie żalu o to, iż tak tchórzliwie was wczoraj opuściłem, ale wolałem

wrócić do domu. Kąpiele o północy to już rozrywka nie na mój wiek, zwłaszcza że morze i tak hałasuje mi nad głową przez cały dzień. A poza tym wiedziałem, że wasza trójka świetnie sobie poradzi beze mnie.

45

Brzęknięcie tosterów dało sygnał do chwilowego zawieszenia opowieści.

- Pańskie grzanki już gotowe... Chciałbym jednak, żeby pan uwierzył, iż w swoim czasie ja także byłem pierwszym do kąpiele o północy. Zdarzało mi się nawet dopłynąć aż do wysepki leżącej na północ stąd, a to tak jakby kusić samego diabła... Nie widziałem jeszcze dzisiaj Julie, a pan?

Boris poczuł, że to pytanie spada na niego jak sztormowa fala, można było zresztą przewidzieć, że tak się stanie.

- Zazwyczaj wstaje najwcześniej z nas, ale rano, kiedy zapukałem do jej drzwi, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Nie dobijałem się... Myślę, że pańska kawa jest już ciepła.

Boris tak mocno się sparzył, wyjmując kawę z mikrofalówki, że upuścił filiżankę; instynktownie poczuł żal do starszego pana, że go nie ostrzegł.

- To moja wina, powinienem był pana uprzedzić, ale cóż, te wszystkie nowoczesne urządzenia są dla mnie równie enigmatyczne jak pytania, które na zawsze pozostaną bez odpowiedzi... Dwadzieścia sekund, żeby zagotować kawę — prawdziwa tajemnica. Nie wiem, jak dla pana, ale dla mnie to zupełnie niezrozumiałe, po

dobnie jak cząsteczki elementarne czy ludzki genom.

Czy pan to wszystko przyswaja?

Tuż po przebudzeniu Boris nie miał najmniejszej ochoty na prowadzenie rozmów, a do porannego braku humoru doszło jeszcze to oparzenie, które czuł między palcami. Trzymał prawą dłoń w lewej i dmuchał na zranione miejsce, żeby złagodzić ból.

- Ludzie w moim wieku zazwyczaj znają kilka sposobów na łagodzenie skutków oparzeń: kostki lodu,

46

masło, może odczynianie czarów? Czemu nie... Ja jednak nie znam żadnych sposobów. Poza wystukaniem numeru telefonu i wezwaniem pomocy. Mamy zaprzyjaźnionego lekarza na drugim końcu wyspy.

Przez chwilę Boris żywił podejrzenie, że starszy człowiek specjalnie nastawił źle mikrofalówkę. Nie najgorsze poczucie humoru jak na poranek.

Pukanie do kuchennego okna spotęgowało atmosferę zamieszania. Za oknem stał żandarm, szukający wzrokiem mieszkańców. Wyglądał tak, jakby wyrzucał sobie, że zastukał zbyt mocno. Ojciec dał mu znak, że zaraz do niego wyjdzie, i przeprosił gościa. - Proszę się czuć jak u siebie.

Kiedy nagle znajdziemy się sami w cudzym domu, z reguły odczuwamy pewne skrępowanie, prawdziwe zażenowanie. Boris nigdy nie doświadczał podobnych wrażeń, wręcz przeciwnie, czuł prawdziwą przyjemność, gdy otwierał cudzą szarękę i odkrywał w niej jakąś ciekawą konfigurację, przekraczając tym samym granicę, której goście zazwyczaj nie

przekraczają. Przez mokre szyby okienne widział pana domu, ciągle jeszcze w szlafroku, słuchającego uważnie tego, co miał do powiedzenia przedstawiciel władzy. Żandarm był wyraźnie ugrzeczniony, jego postawa wyrażała szacunek dla rozmówcy; zdjęwszy kepi, trzymał je w ręku. Wydawało się, że ojciec niezbyt chętnie mu odpowiada, najwyraźniej niezdecydowany, w pewnej chwili wziął papier, który tamten mu podał, i złożył podpis z wyraźnymi oznakami złego

47

humoru, a potem długo patrzył, jak żandarm idzie w stronę bramy.

Ciągle w kapciach, ojciec pomaszerował do końca parku, do nadbrzeżnej skały, skąd rozciąga się widok na zatokę. Z wysokości stu osiemdziesięciu schodów nad poziomem morza obejrzał dokładnie całą tę strefę, zamysłony, może nawet nieco surowy. W tym samym czasie Boris, rzeczywiście jak u siebie, przygotował sobie następną filiżankę kawy, włożył kolejne kromki do tosteru i nastawił kuchenkę mikrofalową. Kiedy wszystko się grzało, omiótł wzrokiem kuchnię, basen za oknem, czyniąc coś w rodzaju przeglądu, wyobrażając sobie, że naprawdę jest u siebie w domu. W gruncie rzeczy to była fajna sprawa — być u innych i wyobrażać sobie, że jest się u siebie. To dyskretne i niezauważalne przekroczenie prawa, słabo wykrywalne, a w wielu wypadkach dosyć satysfakcjonujące. Było jej niezwykle ciężko, a nawet boleśnie otrząsnąć się z resztek snu i dojść do siebie. Tego ranka miała duży problem ze wstaniem z łóżka, bo ciało ogłosiło bunt, było obolałe, chociaż jednocześnie czuło ulgę. Chyba cierpiała, a może za daleko posunęła się tej nocy? Głębka połączona z bezmiarem zimnej wody, nagły odpływ wszelkiej energii i ten śmiertelny ciężar, który jest wynikiem zbyt długiego pływania w niskiej

temperaturze.

I był on, on, którego każdy gest zdawał się wykraczać poza wszelkie intencje, on ze swoimi ramionami, którymi ścisnął ją mocno. Ból, jaki odczuła, chcąc stawić mu opór, a jednocześnie pewna słodycz, kiedy do niej dopłynął, to nieporównywalne z niczym upojenie dwóch ciał przybijających do brzegu...

W poczuciu winy skrywali odgłosy w huku fal; palce niebezpiecznie położone na ustach i wargi otulające palce, związane powściągliwością. Bardzo szybko poczuła zażenowanie, że siostra jest tuż obok, gwałtowne skrępowanie i niepokój, lodowatą dolegliwość i strach, że się do nich zbliża...

49

Właśnie wtedy poczuła odmowę jak najdoskonalszą przyjemność; pozbyć się tego uścisku, ustrzec przed pragnieniem i zanurzyć się w nadchodzącej fali, pozwolić mu na dojście aż do punktu krytycznego, tak łatwo i szybko, a potem odpłynąć, jakby chciała go za to ukarać.

I jeszcze dlatego, że spała w jego pokoju, a on w jej sypialni. Ze złości na panującą tu zawsze ospałość, brak jakiegokolwiek ożywienia, na przekonanie, że opalasz się na próżno, a także ze złości na dziką żądzę, która podpowiadała, by uznać tego mężczyznę za zrządzenie Opatrzności. Jednak nie uległa. Z pewnością czuła się trochę rozczarowana jego natarczywością, pośpiechem, jaki okazywał, kiedy znaleźli się w korytarzu, podczas gdy ona obawiała się tylko jednego - że okaże się zbyt dostępna. A on nie nalegał długo, odwrócił się na pięcie i pomaszerował w kierunku jej sypialni, nawet nie urażony i przez to jeszcze bardziej

uwodzicielski. Nieważne, że myślała o tym przez całą noc; całą noc rozpamiętywała tę w sumie nie najgorszą przemoc, gwałt, czując jednocześnie coś w rodzaju żalu. Jednakże tego ranka jedyne, co ją naprawdę krępowało, to złe samopoczucie, wynikające z lęku, że ktoś jednak mógł ich usłyszeć.

Dla kapitana był to już drugi rejs, pływanie między grzywami fal i wierzchołkami skał podwodnych, respektowanie torów wodnych przy jednoczesnym wykorzystywaniu prądów, przepływanie jak najbliżej nadbrzeżnej skały, by okrążyć tę podwodną - to wszystko było dla niego czystą formalnością.

Łódź kołysała się między znakami orientacyjnymi, małe, pokrywające się rdzą krzyżyki sterczały na wierzchołkach podwodnych skał, by wskazać ich położenie; podczas przyływu widać było jedynie górną część krzyżyków, a w czasie odpływu sprawiały wrażenie nagrobków, pozbawionych religijnej żarliwości i ozdób.

Powróciło słońce. W jego jasnym, mocnym świetle, rozpoczynającym znowu upał, Andre-Pierre bez większego zainteresowania poddawał się rozwojowi wydarzeń. Już od ponad trzech tygodni matka czyhała na tę chwilę, od początku wakacji czekała tylko na to, żeby go chytrze usidlić. Dzisiejszego ranka wymyśliła wreszcie pretekst, jakim były zakupy na targu w Paimpol; powiedziała o butelkach z wodą i koszykach do dźwigania. Tak więc powinien jej towarzyszyć. I tak nie lubiła

51

zresztą chodzić tam sama, od kiedy dowiedziała się o zebrzącej wokół targu bandzie młodych ludzi, wałęsających się tam przez całe lato, których zaczęła się bać, gdy usłyszała krążące o nich opowieści. Mówiono, że

zjawiali się jedynie po to, by śledzić mieszkańców, gromadzić o nich jak najwięcej informacji i czekać, aż ich dom zostanie pusty, kiedy lokatorzy gdzieś wyjdą.

Aby usprawiedliwić własną podejrzliwość i jednocześnie trochę ich ugłaskać, za każdym razem dawała im jakieś drobne sumy, zwłaszcza że byli tam tylko chłopcy, a ich uśmiechy zdawały się mówić, że jest jeszcze ładna. Niektórzy z nich nawet dawali do zrozumienia, iż mogliby jeszcze zapalać uczuciem do tej sześćdziesięcioletniej kobiety.

Poza sprawami zaopatrzenia dzisiejszy spacer na targ miał być dla niej również okazją do poruszenia dwóch czy trzech ważnych spraw. Nie cierpiała z zięciem rozmawiać, tak było od samego początku, co nie przeszkadzało jej żywić do niego przyjaznych uczuć i bez rezerwy przyjąć go do rodziny. Teściowe nigdy nie są tak do końca niemiłe dla swoich zięciów, w niektórych wypadkach są im nawet wdzięczne, zwłaszcza kiedy zdają sobie sprawę, jak źle układało się wcześniej życie ich córek.

W czasach kiedy Andre-Pierre spotkał Vanessę, jeszcze nie podniosła się ona po katastrofie, jaką był dla niej okres dojrzewania, składający się z potknięć i upadków, które wtłoczyły ją w dorosłość bez żadnego dyplomu, bez równowagi ani planów na przyszłość. Miała skłonność do przebywania w nie najlepszym towarzystwie i tkwienia w chronicznej rozpacz, a jej brat bez wątpienia robił wszystko, żeby pójść w jej ślady. Jak wielu

52

młodych ludzi, uznawała, że najlepiej wyraża się swoje zdanie poprzez bunt, ale podczas gdy prawdziwe roszczenia są wyrazem pewnej odwagi, a przynajmniej jakiegoś zaangażowania, ona wołała bardziej intymne,

małe rewolucje, taki wyciszony nihilizm.

Skutek był taki, że po kilku perypetiach i pseudo-universyteckich doświadczeniach pozostawała długo na łonie rodziny, bez konkretnego zajęcia, zajmując się z daleka posiadłością jako pracownik sezonowy. Ojciec próbował zrobić z niej przedstawicielkę firmy, kogoś w rodzaju jej ambasadora; ona sama zresztą wpadła na pomysł, żeby urządzić degustacje przy dobrym wystroju wewnątrz i nagłośnieniu. I właśnie w takich okolicznościach, w sposób jak najbardziej naturalny pojawił się Andre-Pierre, który od dawna pracował w posiadłości, a od kilku lat piastował stanowisko dyrektora do spraw finansów, by następnie zostać dyrektorem generalnym. Andre-Pierre, znacznie wcześniej, niż zaczął się spotykać z córką właściciela, cieszył się pełnym jego zaufaniem, zastępując go podczas wakacji, zdejmując z niego ciężar zajmowania się interesami, których starszy pan szczerze nie lubił...

Andre-Pierre zdołał nawet podbić Japonię, bo nie bał się latać samolotami. Tenże Andre-Pierre uczynił z Va-nessy prawdziwą kobietę i obdarzył ją podwójnym macierzyństwem. Jest więc sprawą oczywistą, że Andre-Pierre, będący początkowo jedynie doskonałym pracownikiem, mądrym facetem, którego bardzo lubiano, ale tylko tyle, od kiedy stał się członkiem rodziny, cieszył się jeszcze większą sympatią.

Poza tym tylko Andre-Pierre był w stanie zapewnić ciągłość rodzinnego interesu, oczywiście pod warunkiem,

53

że pewnego dnia potrafi podzielić się władzą i odpowiedzialnością z Philipem, zwłaszcza że ojciec nigdy nie stracił nadziei na zwrot w postępowaniu syna, w którym zresztą widział szansę na przekazanie

następnym pokoleniom rodowego nazwiska. Ze względu na perspektywę zaangażowania się syna w zarządzanie firmą pilne stało się, by obaj mężczyźni zdołali się porozumieć, gdyż ojcu bardzo zależało na ich współpracy i nie chciał słyszeć o zatargach, różnicy zdań czy antypatii.

Uważał, że w wieku siedemdziesięciu pięciu lat ma już za sobą należącą do niego część pracy i marzył tylko o tym, by wraz z żoną mógł spędzać jak najwięcej czasu tutaj, w Brehat, o nic się nie martwiąc.

- Przecież znasz Philipa. On nigdy się nie zmieni, bo człowiek nie zmienia charakteru... Philip nie stanie się dojrzały przez sam fakt, że da mu się piękne biuro, tytuł i odpowiedzialną funkcję. Wiesz, Andre-Pierre, od kiedy wszedłeś do rodziny, kocham cię tak jak własne dzieci, uważam cię zresztą za jedno z nich, z drugiej jednak strony one wszystkie powinny kochać się wzajemnie i konsekwentnie nawzajem sobie pomagać. To ty musisz czuwać nad Philipem. Zdaję sobie doskonale sprawę, że w pierwszym okresie będziesz musiał być dla niego... jak by to powiedzieć, jak ojciec czy może raczej jak brat... Zrozum, to bardzo ważne tak dla niego, jak i dla ciebie, a poza tym on nie może w nieskończoność pozostawać bez pracy, włączyć się po świecie przez całe życie...

W takich właśnie chwilach Andre-Pierre pokazywał swoje prawdziwe oblicze - upartego, łatwo dąsającego

54

się człowieka, który nie waha się odwrócić z zimnym wyrazem twarzy i patrzeć w dal, na krzyże na morzu jak na procesję zasług, wyznaczników wielkości, posłannictwa, choć on nie ubiegał się o żadne zaszczyty. Jego twarz przybierała twardy wyraz, widniało na niej nieprzejednanie,

bezkompromisowość, a na zmianę tego wyrazu trzeba było sobie zasłużyć. W tym przejawiał się jego rys egoizmu, który chronił go przed okazywaniem współczucia... Philip! Z trudem wyobrażał go sobie w roli handlowca czy przedstawiciela, w ostateczności być może nadawałby się do pomocy w winnicach przy wymianie palików czy rozrzucaniu nawozu... Andre--Pierre na tyle dobrze znał swojego szwagra, że nie miał złudzeń co do jego braku odpowiedzialności, zwłaszcza-że, w przeciwieństwie do innych, doskonale wiedział o wszystkich jego wybrykach i kombinacjach. Od dawna też chronił rodzinę, zachowując tylko dla siebie te informacje o brudnych, wstydliwych sprawach, które z pewnością zmieniłyby w oczach bliskich wyidealizowany obraz tego wspaniałego syna. Chociaż gdyby już do tego doszło, nie wyparłby się swej wiedzy, w dążeniu do tego, by w końcu dostrzegli, jaki ten młodzieniec jest naprawdę... Tak więc Andre-Pierre był murem obronnym, chroniącym dobre imię syna, w zamian jednak oczekiwał pewnego rodzaju wynagrodzenia. Trzymał w tajemnicy wszystkie grzeszki szwagra, które mogły mu się przydać jako ostateczny argument. Aż do teraz nie wspominał więc o pieniądzach, które przelewał co miesiąc na konto Philipa, nie zdradził, że zna adres, pod który wysyła pocztę, nie pisał słowa o sztuczkach, jakie musiał stosować, by wszyscy uwierzyli, że pocztówki od Philipa nadchodzą ze Stanów.

55

Gdyby się to wydało, rewelacje te niczego by w gruncie rzeczy nie zmieniły. Matka po raz kolejny znalazłaby tysiące usprawiedliwień, a ojciec wzgardziłby tymi informacjami, ignorując je dla samej zasady, zwłaszcza że nie byłby to pierwszy raz, kiedy Andre--Pierre starałby się

skompromitować szwagra. To stanowiło część jego dokładnie opracowanego planu, bo od samego początku zdawał sobie sprawę, że niemożliwe jest dogadanie się z takim typem jak Philip. Dla niego szwagier był kompletnym zerem, wiecznym lekkoduchem, którego jedyne doświadczenie życiowe stanowiły drobne przekręty i wątpliwe znajomości.

- Przecież widzi mama, jakich on ma przyjaciół, takich jak choćby ten typ, który jest teraz w domu. Chyba mama zauważyła, że po niespełna dwóch dniach czuje się jak u siebie, kręci się przez cały czas z tym swoim haszyszem i częstuje nim wszystkich dookoła...
- Nie widzę niczego na tyle zdrożnego, że mogłoby mnie to oburzać...
- Ale czyż nie zdajesz sobie sprawy, że jeśli pozwoli mu się na wszystko, to lada dzień oskubie nas po kolei i może nawet...

Nagle przerwał, jakby nie śmiał powiedzieć więcej, jakby obawiał się, że w jakiś sposób - mniej lub bardziej nadprzyrodzony - Boris mógłby go usłyszeć...

- Nie powinieneś tak się do niego nastawiać, ten chłopak jest naprawdę czarujący. Mój mąż długo z nim rozmawiał wczorajszego wieczoru, a możesz mi wierzyć, że on zna się na ludziach.

Andre-Pierre z różnych powodów nie ufał temu typowi. Nie znosił go, był przekonany, że jego zachowanie to tylko gra pozorów. Nie mógł go sobie wyobrazić

w innym miejscu niż plaża, gdzie korzysta z cudzego słońca i rzuca wokół spojrzenia. Zwykły pasożyt, darmozjad, bez najmniejszej klasy... Na jego

tle Philip wyróżniał się wyszukany obyciem... Przez sekundę nie wyobrażał sobie, żeby ten pozer mógł spędzić dzieciństwo w szkole w Buzenval, ani przez chwilę nie widział go u Lasalliensów, bo ludzie, którzy przewinęli się przez ten college, nabrali, poza wiedzą, choć odrobinę kultury i obycia...

- Jak to się stało, że nigdy przedtem go tu nie widzieliście?
- Wolny czas, który dzieci mogą spędzić poza internatem, nie jest przez nie wykorzystywany na odwiedziny rodziców kolegi... Philip nigdy zresztą nie przyprowadzał kolegów do domu; moim zdaniem czuł się trochę winny z powodu naszego dobrobytu... Jestem jednak zdania, że ktoś inny na jego miejscu postępowałby odwrotnie...

Andre-Pierre znów się odwrócił od teściowej, zaciskając zęby, by niczego nie powiedzieć. Niewidzącym spojrzeniem błędził po falach.

- No dobrze, dobrze, wiem, że czujesz się nieco spięty, że ciężko pracujesz przez cały rok, ale możesz być pewny, że mój mąż i ja mamy do ciebie absolutne zaufanie... Jestem przekonana, iż wszystko ci się doskonale uda, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Chciałabym jednakże, byś mnie zrozumiał. Proszę cię, żebyś przynajmniej zawarł pokój z Philipem. Wakacje są przecież idealną okazją do tego, żebyście szczerze porozmawiali, nie ma lepszego momentu, by wszystko sobie wyjaśnić i raz na zawsze dojść do zgody... Proszę cię o to jak o przysługę, bo on ma wszystko tutaj, nie chcę,

W obliczu takiej naiwności Andre-Pierre jeszcze mocniej zacisnął zęby.

Łódź płynęła teraz szybciej. Kapitan zapalił swojego playersa, co było znakiem, że przekroczone strefę prądów wodnych, nie musiał już się niczym przejmować ani niczym zarządzać. Dym z papierosa utrzymywał się przez jakiś czas nad osłoniętą przed wiatrem kabiną, kręcił się wokół niej, gęsty i żółtawy, a potem nagle zniknął od jednego podmuchu, rozproszył się, jakby opadł nagle z sił.

Dokładnie poniżej nich, ograniczony czterema, pięcioma metrami głębi, rozciągał się pasaż zwany damskimi udami, *cuisse des dames*, poznaczony śladami stóp na mokrym piasku, śladami pochłanianymi przez morze, szlak, który jeszcze kilka godzin temu był oazą ciszy i spokoju, i niedługo znowu taki się stanie.

Kiedy Julie, trzymająca w ręku okulary przeciwsłoneczne, wyszła ze swojego pokoju, Borisa i ojca ujrzała nad basenem. Pocałowała ojca i pozdrowiła Borisa cichym, niezbyt pewnym głosem. Powiedziała, że rano widziała przez okno żandarma, co było dziwnym doświadczeniem zaraz po przebudzeniu... Ojciec rozproszył jej niepokój śmiechem, dziwnym chichotem, powstałym jakby w przypiływie nagłego szyderstwa, któremu wiek dodaje przebiegłości i który potwierdza relatywizm każdego wydarzenia. Śmiech dziecka to tylko śmiech kogoś, kto jeszcze niczego nie wie, kto nie jest w stanie docenić skali życia wiodącej od dramatu do dezynwol-tury, od błahostki do rzeczy naprawdę ważnych; śmiech starszego człowieka jest czymś zupełnie innym... Śmiech ojca był wybuchem przenikliwości i swobody, śmiechem, który przynosił Julie ulgę, zupełnie jak w dzieciństwie, i nie pozwalał się jej niczym martwić.

Zanurzyła usta w kawie, rzucając senne spojrzenia ponad filiżanką,

westchnęła głośno, zapatrzyła się w jasne niebo i zwycięskie słońce, na znowu błękitne morze, kołyszące się u podnóża skał z czerwonego granitu.

59

- Ach, nie mów o tym, zwłaszcza matce. Tym razem chodziło o podpisanie czegoś w rodzaju pozwolenia w sprawie sztucznych ogni, jakichś tam oficjalnych papierów...

I zwracając się do Borisa, wyjaśniał:

- W zeszłym roku jakaś zabłąkana petarda zaprószyła ogień na dwóch żaglówkach, które płynęły w pobliżu posiadłości, w Zatoce Białej Kury. Od tamtego dnia nieustannie obawiamy się jakichś represji ze strony ich właścicieli. No cóż, wtedy Philip miał trochę...
hmm... pewnie sam pan wie, o co chodzi.

Już się nie śmiał.

Vanessa z dziećmi pojawiła się od strony zatoczki. Chłopcy nieśli plastikowe żółte wiaderka, pełne muszelek, ramiona świeciły im od olejku. Wracali z ponad dwugodzinnej przechadzki. Śniadanie zjedli w salonie na dole, w półmroku spowodowanym przez przymknięte okiennice. W południe przychodziła kobieta, która przygotowywała posiłek i podawała do stołu. Boris przyglądał się, jak ta kobieta jakby bez wieku chodzi w tę i z powrotem, od kuchni do stołu, nie wykonując żadnego zbędnego gestu. Pomyślał, że to jedyna osoba, która umknęła jego uwagi. Czy mieszka tutaj, czy może pochodzi z kontynentu? Jak brzmi jej głos? Kiedy wracała do kuchni, popatrzył na jej plecy i ten widok przypominał mu matkę, która pracowała w restauracji.

Ojciec skupił na sobie uwagę, opowiadając historię, której rankiem dostarczył mu żandarm, a która teraz krążyła już zapewne po całej wyspie, bo ludzie niczego bardziej nie lubią niż komentować cudzą śmierć... O świcie znaleziono jakiegoś mężczyznę, uwięzionego w tym okalającym brzeg sanktuarium skał, tak samo jak tego topielca sprzed dwóch lat. Ojciec przypisywał podobne wypadki szalonym pomysłom nawiedzonych pływaków. Zakładali

61

się między sobą, że przetną wpływ Goulf Stream, najlepiej podczas odpływu, kiedy odległość maleje. Mogli się wtedy dać ponieść ciepłym wodom...

- Jeszcze kilka lat temu taka brawura była tu bardzo modna wśród naśladowców Ponce'a de Leon , tego hiszpańskiego konkwistadora, którego ciało niosły morskie prądy. Legenda mówi, że Goulf Stream zniósł go aż tutaj, otwierając w ten sposób drogę tym wszystkim, którzy próbowali jak najtańszym kosztem dostać się do Ameryki... Proszę w to nie wierzyć, to tylko legenda. Jednakże białe rekiny także pozwalają się nieść Goulf Streamowi i w ten sposób unikają wysiłku samodzielnego pływania, a łowione tutaj węgorze w większości wykluły się w wodach Morza Sargassowego... Widzę to jako swoistą metaforę... Może w ten sposób pojawi się także Philip...?

Kolejny raz ojciec zasiał niepokój. Wszyscy potrzebowali trochę czasu, by się zastanowić, czy w grę wchodzi jedynie specyficzne poczucie humoru, czy po prostu brak wycucia.

- Jeśli będzie wolał Gulf Stream od samolotu, to nie ujrzymy go tu przed upływem dwóch miesięcy... -
dodał pan domu.

Tylko Boris roześmiał się na te słowa. Ojciec był zachwycony, że wreszcie znalazł interlokutora na swoją miarę. Oto w końcu pojawił się ktoś, kto traktuje pewne rzeczy z lekkością, nie cierpi z powodu głupiego kawału. Wszyscy inni mieli skłonność do traktowania wszystkiego z największą powagą...

' • **Ponce de Leon, 1460-1521**, kapitan floty hiszpańskiej, gubernator Puerto Rico.

62

Wykorzystując to milczące porozumienie, Boris zdobywał powoli kredyt zaufania patriarchy rodu. Ostatnimi czasy rodzina miała coraz większą skłonność do traktowania go jako miłego, nieszkodliwego marzyciela, a czasem cynicznego blagiera... Andre-Pierre patrzył niechętnym okiem na tę świeżo nawiązaną nić porozumienia; obawiał się, że to zalążek koalicji.

Słuchając opowieści ojca, Julie pomyślała o wyczynach pływackich ostatniej nocy.

- A ten Gulf Stream, jak można go rozpoznać?
 - Jest niczym rzeka na pełnym oceanie, rzeka, której brzegi stanowi morską wodą...
- Jak tam trafić?
 - Wystarczy pójść śladem latających ryb...

Kobieta od serwowania posiłków nawet nie starała

się zrozumieć, o co chodzi, za dużo było tej abstrakcji.

Po południu dziewczyny zaproponowały pójście na kort. W Buzenval tenis cieszył się ogromnym powodzeniem, wszyscy domownicy spędzali na grze całe weekendy. To dlatego Philip grał tak doskonale i Boris musiał się nieźle namęczyć, by mu sprostać. Andre-Pierre nie zdołał się wymknąć, miał już zresztą nie najlepsze doświadczenie w tej materii, z góry wiedział, że stanie się obiektem niekończących się wymówek.

Ojciec w swoim pokoju bardziej medytował, niż zażywał sjesty. Rozmyślał o tych wszystkich dryfach i ciepłych podmuchach wiatru, które ofiarowywało tutejsze lato. Dzięki mikroklimatowi rosły tu nie tylko palmy i sosny parasole, ale nawet eukaliptusy i mandragora. Starszy pan często zasypiał z tym widokiem

63

przed oczami, z grą wyobraźni, która prześladowała go od zawsze, a nawet jeszcze dzisiaj nie udało mu się nadać temu wyobrażeniu prawdziwej wizualizacji. Pięćdziesiąt razy Loara... Siła Gulf Streamu była pięćdziesiąt razy większa od siły Loary, tej błogosławionej rzeki, która stworzyła jego fortunę w postaci winnic... Skoncentrował się na tym widoku, czekając nadejścia snu, licząc barany, które przybierały postać białych rekinów. Kort znajdował się na tyłach posiadłości, na polance dobrze osłoniętej od wiatru. Szło się do niego ubitą dróżką, wijącą się pośród sosen i szafranów. Balsamiczny, ciepły zapach dobywający się z zarośli, równikowy upał, wyluzowana postawa dziewczyn, przewiewność ubrań - wszystko to przypominało Riwierę, zwłaszcza że o tej porze słońce grzało najsilniej. Kora drzew miała odcień czerwony, pęki zielonych igieł

sprawiwały wrażenie szmaragdowych bukietów, niebo przypominało świeżo pomalowane błękitem płótno. Między drzewami prześwitywało lśniącym migotaniem morze, niczym drugi wymiar obrazu. Pośrodku tego łącie greckiego błękitu wyspa zdawała się zawieszona między niebem a wodą. Boris odczuwał tę chwilę jako chwilę łaski. Trudno było mu uwierzyć, że jest tutaj. Szedł jednak pewnym krokiem, by nie okazać wrażenia, które wywoływał w nim niewyobrażalny wprost kontrast z warunkami, w jakich przebywał w ostatnich miesiącach...

Przy okrążaniu kępy wysokich drzew wpadł na metalową siatkę wzniesioną wokół kortu, wysoką niczym zawrót głowy, kwaśną niczym najgorsze wspomnienia,

65

jakie zachował z rozległej przestrzeni, spacerów aż po pokratkowany stalowymi kwadratami horyzont. Ta siatka miała w sobie więcej miękkości, nie ograniczała niczego poza odrobiną wolności, otwierała się za pomocą furtki bez zamka, a jednak jej widok podział na niego jak uderzenie, po którym chciałoby się zwinąć, zgąć, ale nie można niczego po sobie pokazać.

Czekając, aż upał trochę zelżeje, dziewczyny postanowiły posiedzieć na ławce. To było lepsze niż gra debla; wolały popatrzeć na grę panów.

Patrząc na siatkę, Boris poczuł powracające wspomnienie poniżenia, dotkliwszego od cierpień fizycznych. Tenis - niby tylko sport, ale dla niego stanowił symbol upokorzenia... To nieznośne pokolenie patrzyło z góry na innych, wyciągając spokojnie swoje rakiety, żółte piłki i białe szorty. Ci młodzi ludzie niczym nie zasłużyli sobie na supremację, w niczym nie byli lepsi; z pustymi rękami byliby zerem. Rakieta w dłoni

decydowała o ich wartości, to dzięki niej nabywali prawa do swobodnego biegania po korcie, ujawniało się dobre wychowanie... A jednak, aby stawić im czoło, nie ujawnić swych lęków, nigdy nie uchylał się od gry, gdy proponowano mu rozgrywkę. Grał, przekonany, że ustalone reguły uda mu się zastąpić instynktem, konwenanse - wściekłością. Tu także musi wygrać.

- Zdaje się, że w Buzenval rozgrywano dwa turnieje rocznie? Musiał pan chyba odnosić w nich sukcesy?

Jeśli już na samym wstępie Andre-Pierre pozwalał sobie na ironię, jeśli jeszcze przed rozpoczęciem gry szacował wzrokiem swego przeciwnika, to dlatego, że do-

66

skonale wyczuwał, jak bardzo nie na miejscu znajduje się Boris z rakieta w dłoni. Jego niepewność musiała być widoczna w gestach; stracił swój impertynencki luz, zdawał się przytłoczony powstałą sytuacją.

Boris miał przywilej wyboru pola na korcie, wybrał dla Andre-Pierre'a tę część, na którą mocno świeciło słońce, ale zanim rozpoczęli grę, Andre-Pierre poprosił o zwłokę, aby się czegoś napić. Boris tymczasem podjął kolejną próbę namówienia dziewczyn do rozegrania debla, pod pretekstem, iż byłoby o wiele zabawniej pobiegać we czwórkę po korcie. One jednak znów odmówiły. Siedziały na ławce, z nogami podwiniętymi pod siebie, w cieniu; wolały się przyglądać, bo uważały, że zabawniej jest obserwować grających.

Sam ich widok wystarczał, aby Boris czuł jeszcze większy niepokój.

Julie wystawiła teraz nogi na słońce, resztę ciała kryjąc w cieniu. Ze swego miejsca Boris przyglądał się jej zachęcającym udom, zniewolony tym wyraźnym brakiem pruderii i radosnym zuchwalstwem, z jakim patrzyła mu prosto w oczy. Vanessa obserwowała to przedstawienie bez obrazy czy zazdrości, raczej ze zrezygnowaną uprzejmością.

- No dobrze, możemy zaczynać... — powiedział Andre-Pierre, nagle bardzo ożywiony, podskakując wyzywająco przed nosem przeciwnika.

- Ale na początek zrobimy kilka wstępnych piłek...

Wymienili z dziesięć bezładnych zagrań, za każdym razem Boris odbijał piłkę poza linię kortu; już teraz chciało mu się pić i było mu za gorąco. Andre-Pierre przyglądał mu się, osłaniając ręką oczy, i nie spodobało

67

mu się, że rywal chce zrobić przerwę. W przyływie złości Boris rzucił, że wolałby grać po przeciwnej stronie kortu, po zastanowieniu stwierdził bowiem, iż lepiej mu będzie pod słońce... Andre-Pierre powinien wziąć tę prośbę pod uwagę, pomyśleć chwilę, gdyż wyczuwał w tej propozycji jakąś pułapkę.

Przygotowując pokój Philipa, matka myszkowała w panującym tu zawsze bałaganie, będącym rodzajem archiwum syna. Dotychczas nie próbowała badać zawartości jego składowiska z powodu wrodzonej delikatności. Teraz wyciągnęła z szafy stos starych prac, stertę zeszytów, w których były raczej bazgroły i rysunki zamiast notatek z lekcji i zawsze, bez względu na rodzaj zadania, zawsze te złe stopnie... Ujrzała także kilka podpisów, które

powinna była złożyć w swoim czasie, ale widziała, że to nie jej ręka podpisała te stopnie.. .Wiedziała o tym swoistym talencie syna, jego łatwości w podrabianiu podpisów, o tupecie, który pozwalał mu robić podobne rzeczy, co było jej zdaniem rodzajem wiarołomności, i to przejawianej od najmłodszych lat... Przez wiele lat zresztą odczuwała lęk przed tymi wrodzonymi zdolnościami Philipa i jego zimną krwią, przed jego predyspozycjami do udawania czy kłamstwa; od dawna lękała się tych skłonności. Dlatego też zrodził się pomysł wysłania syna do internatu. Stąd bowiem wynikała konieczność wprowadzenia do jego życia dyscypliny, oddania go do instytucji, z której mógłby wyjść odmieniony, spokojniejszy, a przede wszystkim uczciwy.

Chciała znaleźć starą fotografię klasową, ze starannie wypisanymi nazwiskami na dole i po bokach, ze strzał-

68

kami ułatwiającymi szybkie odszukanie danej osoby, ale wpadł jej w ręce widok szkolnego chóru w komplecie, około pięćdziesięciu chłopców, lecz bez nazwisk. Nie miała przy sobie okularów, co nie przeszkodziło jej w natychmiastowym rozpoznaniu własnego syna, ubranego w albę, jak wszyscy pozostali, z drewnianym różańcem na szyi, z ogoloną głową. Wszyscy przypominali małych buddyjskich mnichów. Rozpoznała od razu tę dumnie wyprostowaną postać, zupełnie jakby Philip rzeczywiście czuł dumę, że może nosić podobny strój... Widok syna rozbawił ją - oto Philip z krótkimi włosami i wyrazem dezaprobaty na twarzy, typowej dla ucznia, od którego wymaga się określonego postępowania, jednak Philip spokojny i przez ten biały strój jakby uświęcony... Inni chórzyci także trzymali się prosto. Matka widziała pięć rzędów chłopców, przypominających ele-

menty szkółki doskonałości... Boris, którego szukała, był wysoki. Pamiętała, że obydwaj chłopcy trzymali się razem, byli sobie tak bliscy, że w pewnym momencie musiano ich rozdzielić, na jakiś czas przeniesiono jednego z nich do innej klasy... W jakimś kluczowym okresie ich dojrzewania zdarzało się coś w rodzaju nagonki, czatowano na poszczególnych uczniach, dochodziło do bijatyk i przepychanek. Były to istne polowania, podczas których okrążano ofiarę i rzucono się na nią bez żadnego tłumaczenia, o co chodzi, pewnie zresztą działo się tak bez powodu. Następstwem takiego postępowania były sankcje, konsultacje z psychologiem. Podczas tych „rozpraw” Philip konsekwentnie utrzymywał, że po prostu szedł za innymi, bo przynależność do klanu bijących była najlepszym sposobem na uniknięcie bicia. On zresztą tylko się przyglądał,

69

co nie przeszkodziło w postawieniu diagnozy, że jest chłopcem gwałtownym, pełnym sprzeczności, obdarzonym w dodatku pewną dozą agresji... Podobne historie dzieją się zresztą prawie we wszystkich internatach, gdyż odosobnienie często rodzi agresję, tak samo bywa w więzieniach. Niepokój dzieci wywołany jest urazą spowodowaną oddaniem ich do internatu, z czego dzieci zdają sobie sprawę, lecz nie mogą sobie z tym poradzić.

Przysuwała fotografię do oczu, wyężając wzrok, i było jej coraz trudniej wpatrywać się w te równe rzędkie patetycznych aniołków. Twarze kilku spośród nich miały jednak wyraz pewnej wojowniczości, tak było na przykład w wypadku Borisa. Jak było teraz...? Choć brak okularów utrudniał jej zadanie, uparła się odnaleźć te barczyste ramiona, drapieżne,

lecz jednocześnie delikatne rysy, ostrzyżone na jeża włosy i czarne oczy - tego nastolatka, który powinien przypominać nieco mężczyznę, na jakiego wyrósł. Zaczęła wodzić palcem po rzędach uczniów, zanim pomyślała, że ze względu na wzrost chłopak powinien znajdować się w najwyższym rzędzie. Jeszcze przez chwilę przesuwiała wzrok po twarzach, które w końcu zlały się w jasną plamę, a oczy poczęły łzawić...

Koniecznienie chciała przyjrzeć się dokładnie fotografii, wzięła więc ją, by obejrzeć na dole.

Przed wyjściem zamknęła okiennice, żeby do pokoju nie wdarł się upał, jeszcze raz przesunęła dłonią po łóżku, sprawdziła wszystko wzrokiem; bardzo chciała, aby w pokoju panował idealny porządek.

70

Sjesta dobiegła końca. *Casta diva* brzmiała pierwszymi akordami bacarolli, przebiegającymi przez kolejne pokoje. Matka podśpiewywała rytmicznie, jakby wcale nie była znużona znajomymi dźwiękami, które rozbrzmiewały codziennie o tej samej porze, a nawet odczuwała swoistą satysfakcję, kiedy z pokojów młodszych członków rodziny dochodziły oznaki zniecierpliwienia.

Kiedy pojawiła się w korytarzu, powitał ją gromki okrzyk: „babcia!”. Widok małych, ubranych na czerwono istotek, ich chwytnie w ramiona, ich rozbrykanie, kręcenie się w kółko sprawiły, że zapomniała o zdjęciu. Sprowadziła na dół dwa małe ludziki, by mogły uczestniczyć w życiu rodziny. Prawdziwym szczęściem był dla niej taki powrót do macierzyństwa; na nowo czuła zarówno niepokój, jak i satysfakcję towarzyszącą opiece nad dwoma małymi chłopcami. Jej mąż również do-

strzegął przyjemności płynące z faktu bycia dziadkiem, lecz mniej był swą rolą przejęty.

Uderzał nie tylko siłą ramienia. W uderzenie wkładał nie tylko siłę, ale także wściekłość... Teraz już wszystko mu przeszkadzało: słońce świecące prosto w oczy, spływający do oczu pot, złość, że po raz kolejny staje do konfrontacji w tej śmiesznej, nieznośnej grze, podczas której zawsze przychodził czas załamania.

W efekcie gra sprowadzała się właśnie do tego. Andre-Pierre widział spadające wokół szalone piłki, piłki mordercze, niektóre padały na kort, inne poza pole, nie licząc tych, które dosięgały go z pełnym rozmachem... Za każdym razem Boris przykładał się do piłki, uderzając zbyt silnie, nie bardzo zwracając uwagę na to, gdzie piłka polecą, ale odbijał mocno. Andre-Pierre'owi przypominało to jakby ostrzeżenie. Piłki leciały zewsząd, spadały na niego. Taki styl gry traktował jako przejaw niechęci, jako coś równie niestosownego jak telefon w środku nocy.

Widząc, że przeciwnikowi najwyraźniej przeszkadza słońce, zaproponował zamianę pól.

- To niczego nie zmieni - odpowiedział Boris i korzystając z chwili dekoncentracji przeciwnika, uderzył

72

piłkę najmocniej, jak potrafił; to był bardziej strzał niż podanie...

I to straszne spojrzenie w momencie uderzenia, ten jadowity ton, kiedy spytał, czy jest już gotowy... Może nawet były przekleństwa w tych okrzykach, które wyrzuca się z siebie przy szczególnie mocnych serwach, takie jak: „sukinsynu, już po tobie”... W dodatku, zamiast przeprosić, kiedy posyłał piłkę za daleko lub przynajmniej nic nie mówić, pohamować

niezadowolenie, Boris, który nagle stał się nadzwyczaj swobodny i poufały, kierował do niego napomnienia jak do dziecka:

„no tak, teraz trzeba podbiec” niech pan leci, stary”,

„w następną można trafić”, „no dalej”...

Ten typ to skończony wariat! - powtarzał sobie Andre-Pierre jak credo. Ten typ jest naprawdę chory... Jednocześnie bardzo przykładał się do każdej piłki, próbując nie stracić koncentracji, bo przecież tamtemu właśnie o to chodziło, chciał wyprowadzić go z równowagi...

Wiedząc, że nie ulegnie ani gniewowi, ani zaciekłości, czując wyraźnie, że żadna forma riposty nie będzie odpowiednia wobec nieuczciwości przeciwnika, chyba że odpowie się pięknym za nadobne, Andre-Pierre wybrał bierność, jedyny sposób zachowania dumy, bierność, która potrafi wyzwolić z najgorszych nawet sytuacji równie skutecznie jak odwaga.

Dziewczyny snuły się między sosnami, paliły wspólnie papierosa, którego Boris musiał im przygotować. Andre-Pierre patrzył na nie z daleka z wyrazem bezsilności, błagając w myślach, by wróciły na skraj kortu, bo od kiedy przestały ich obserwować, Boris jeszcze bardziej się rozzuchwiał. Korzystał z faktu, że nie było

73

świadków, i okazywał coraz większą gwałtowność i perfidię... Właśnie wysłał mu niespodziewany serw, bez żadnej zapowiedzi. Stopami stał mocno na linii, więc bez najmniejszych skrępowań policzył sobie punkt...

- Uwaga, kolejny serw... Czterdzieści do piętnastu!

Przecież to wariat! Teraz nie ma już żadnych wątpliwości. Wystarczyło zagrać z nim w tenisa, żeby zdać sobie z tego sprawę... Ten typ jest chory! Z pewnością nie pojawił się przypadkiem, nie przyjechał tylko po to, by

przegrywać w tenisa czy rozpalać kobiety... Wziętemu na cel przez to skoncentrowane spojrzenie, porażonemu szczególną ostrością zawartej w nim urazy, An-dre-Pierre'owi przemknęło przez myśl, że ten typ jest tutaj wyłącznie z jego powodu. Nie interesowało go nic poza tym krępującym szwagrem Philipa, tak mało wyrozumiałym, tak bardzo zawadzającym szwagrem, którego nie byłoby trudno zneutralizować. Wystarczy po prostu wpłynąć na niego, zastraszyć...

Poczuł, że poci się podwójnie. Nagle zaczął tracić piłki, jedną po drugiej. Nagle przestał panować nad grą, sparaliżowany tą straszną myślą. Nagle stracił siły do biegania po korcie, jakby podeszwy butów przylepiały się do nawierzchni, jakby jakiś ciężar osiadł mu na ramionach i osłabiał uderzenia. Nie odczuwał czegoś podobnego już od wielu lat, takich zwiastunów tężyczki, a teraz gubił nawet zupełnie proste piłki. Rakieta stała się miękka, siatka zbyt wysoka, no i to ciężkie powietrze dookoła, narastająca wrogość, ten ogłupiający sposób, w jaki oceniał przeciwnika, nieufny, może nawet bojaźliwy, żeby nie powiedzieć: bliski paniki...

Tym razem nie cierpiał z powodu niepokoju czy podejrzeń, lecz z poczucia pewności. Nie snuł już przy-

74

puszczeń, ale koncentrował się na tym, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Ale czego oczekiwał? Jak się miał do tego zabrać? Trzeba czasu, trzeba mieć tego typu na oku, ani na chwilę nie pozostawiać go samego. Z drugiej strony dlaczego nie powiedzieć o swych podejrzaniach ojcu, nawet gdyby miał wyjść na strachliwego głupca, słabeusza i mięczaka? A może zwrócić się z tym do glin? Coż jednak miałby powiedzieć, jaki zarzut mógłby

przedstawić poza aroganckim sposobem bycia i oszukiwaniem w tenisie...? A może przygwoździć go znenacka, uprzedzić jego dalsze posunięcia i spytać wprost, czego właściwie chce, a nawet dać mu to, czego zażąda, i niech się stąd wynosi... Nie było wątpliwości, że ów typ należy do tych ludzi, którzy chcą wyciągnąć jak najwięcej korzyści, a jeśli Philip powierzył mu misję, którą podejrzewa Andre-Pierre, to nigdy nie będzie miał środków na podbicie ceny w tej dziwnej licytacji... Tak więc do niego powinien należeć pierwszy ruch, trzeba jakoś unieszkodliwić tego faceta, którego nasłano na niego niczym śmiercionośną broń.

Nigdy nie przypuszczał, że pewnego dnia będzie musiał stanąć w obliczu takiego zagrożenia. Nigdy nie przypuszczał, że pewnego dnia właśnie znajdzie się w podobnej sytuacji, w takiej groteskowej konfiguracji, oburzającej i niepojętej, w sytuacji ekstremalnej, w której ludzie wywierają na nas taką presję, tak nas osaczają, że to wszystko musi wywołać w nas chęć, by jak najszybciej się z tego wywikłać, pocieszyć się za wszelką cenę... Szukał w sobie cichego głosu, delikatnego i dyskretne-

75

go, tego dalekiego głosu, który przemawiał do niego jak do dziecka, jedyne go głosu, który mógł go uspokoić i dodać otuchy.

Przy odbieraniu serwisu, jednego z łagodniejszych, a więc nieszkodliwego, Andre-Pierre eksplodował. Obijany przez piłki, unicestwiany, zareagował jak alpinista, który odpadł od ściany... Nagle jego rakietę zaczęła krążyć wokół niego, ciało wirowało, podążając za wyciągniętą ręką, ciało wciągnięte w tę przerażającą spiralę... W końcu z

głuchym łoskotem padł ciężko na kort.

Boris przeskoczył siatkę w takim pośpiechu, iż można by sądzić, że odezwało się w nim uczucie miłosierdzia. Widząc to, dziewczyny także zaczęły biec, rozumiejąc, że coś się wydarzyło. A Boris już podtrzymywał głowę Andre-Pierre'a, już dopytywał się, co się stało. Przemknęło mu przez myśl, że należałoby chyba sprawdzić, czy przeciwnik nie połknął przypadkiem języka. Dziewczyny rozpięły Andre-Pierre'owi koszulkę i przetrwały mu twarz chusteczką.

Doszedł do siebie w ramionach Borisa; zrobił ruch, jakby chciał się mu wyrwać, ale nie mógł się poruszyć, był jak sparaliżowany...

- No dobra, stary, i tak masz szczęście, że to ja grałem pod słońce...
Widzisz, jednak miałem rację, zmieniając pole, dobrze wiem, co to porażenie słoneczne...

Dziewczyny oznajmiły, że pójdą do domu po butelkę świeżej wody i po lód... Andre-Pierre próbował je zatrzymać, absolutnie nie chciał, żeby teraz odeszły, za żadne skarby nie chciał zostać sam na sam z tym typem, ale nie miał siły dobyć z siebie głosu.

76

Boris wciąż go podtrzymywał, choć czuł się niezbyt zręcznie w roli pielęgniarza. Starał się nawet nie drgnąć, delikatny jak nigdy dotąd. Położył choremu rękę na czole i powtarzał cichym głosem:

- To wszystko minie, nie martw się.

A Andre-Pierre szukał słów, Andre-Pierre czynił wysiłki, Andre-Pierre starał się zebrać tyle siły, by móc powiedzieć, żeby dał mu święty spokój. Andre-Pierre powtarzał sobie w myślach, niczym małe dziecko, które nawet na to nie ma siły, niczym dziecko, które z góry wie, że i tak nikt go

nie usłyszy, absolutnie nikt, Andre-Pierre mamrotał w sobie obsesyjną, rozpaczliwą skargę, zgodną z rytmem mocnych uderzeń w piersiach: Dlaczego on zwraca się do mnie per „ty”? Wcale nie chcę, żeby mnie tykał...

Najbardziej oburzająca u bogaczy jest zdolność zapominania, łatwość, z jaką wszystko lekceważą, do tego stopnia, że czasem nawet nie wiedzą, co posiadają... Uśpione pianina w ciszy salonów, płótna mistrzów pokryte kurzem, skarby na strychu i inne ciekawostki... Boris często, a właściwie zawsze, uważał takie niedbalstwo za nieprzyzwoite.

Hangar na łodzi był wykuty w litej skale, ogromne wahadłowe wrota z hartowanego żelaza otwierały się na zatoczkę. W tym swoistym garażu pleśniało wszelkiego rodzaju oprzyrządowanie żaglówki, rdzewiały narzędzia i wały się podarte żagle. Ojciec koniecznie chciał mu pokazać swoją Rivę, Aquaramę z lat siedemdziesiątych. Liczył nawet na to, że Boris zdoła ją uruchomić, nigdy przecież nie wiadomo, chociaż nie wyprowadzano jej w morze już od dwóch lat. Według starszego pana wystarczyło tylko przeczyścić świece i postukać w rozrusznik, by dało się wypłynąć.

Luksusowa łódź motorowa, prawdziwy rarytas wśród jednostek pływających, stworzona przez włoskiego konstruktora Carla Rive na początku lat pięćdziesiątych.

78

Zaprowadził Borisa do urządzenia spuszczonego łódź na wodę. Czynność była dosyć prosta, wymagała jednak mocnego naciskania korby kołowrotu i ręcznego ustawienia łodzi w kierunku zatoki. Patrzył na pra-

cującego Borisa z pewnym wzruszeniem, gdyż przypominał sobie swą dawną siłę. Był zachwycony uległością i posłuszeństwem tego mężczyzny, czuł cudowną błogość z powodu jego uprzejmości, odkrywał w niej rodzaj pewnego współnictwa, czego nigdy nie doświadczał w stosunku do własnego syna... A może ten młodzieniec czuł się po prostu zobowiązany, wdzięczny za udzieloną gościnę? A może starał się pokazać, jak bardzo chętny jest do współpracy, podczas gdy w głębi duszy odczuwał śmiertelną nudę i miał gdzieś starania, żeby spuścić na wodę tę mahoniową, kosztowną starość... Zwłaszcza że po oczyszczeniu świec i sprawdzeniu zapłonu silnik i tak nie chciał zapalić. Boris zauważył ze zdumieniem, że klucz wisi na desce rozdzielczej, a to oznaczało, iż musiał tu pozostawać przez cały czas i nikt nie zwracał sobie tym głowy, nikt się nie bał, że ktoś może ukraść to luksusowe cacko...

- Wie pan, nie chciałbym naprzykrzać się panu z tym wszystkim... Niech pan to po prostu zostawi, to naprawdę nic ważnego... - powiedział ojciec.

Boris przeciwstawił tym słowom opór, okazując zawziętość, co zdumiało ojca.

- Miałem zamiar tylko sprawdzić, czy to działa. Nie musi pan niepotrzebnie tracić czasu. Nie chciałbym też, żeby się pan ubrudził. W każdej chwili mogę wezwać mechanika.
- Zobacz pan, jeszcze dwie sekundy i zaczniesz działać...

79

Twarz ojca rozpromieniła się, choć gorliwość przejawiana przez gościa trochę go speszyła, zwłaszcza że tak naprawdę wcale nie miał zamiaru używać swojej Rivy, nie widział siebie na pokładzie, wydającego

polecenia, chociaż ta myśl nieco go kusiła...

- Przypuszczam, że ma pan pozwolenie na prowadzenie łodzi... - powiedział.

Boris skłamał, odpowiadając twierdząco. W końcu kierował już w przeszłości łodziami, zawsze cudzymi, ale bez wątpienia ze znacznie większym upodobaniem niż sami ich właściciele.

Po wielu próbach uruchomienia silnika, ciągle bezowocnych, Boris usiadł bez słowa obok ojca. Obaj byli głęboko rozczarowani. Od tej chwili nie podejmowali już żadnych prób, tylko przyglądali się tej jeszcze nie najgorzej wyglądającej skorupie, tym chromom i lekko zaśniedziałym miedziom, które starały się nadal podobać, tym długim ławkom, krytym podniszczoną nieco angielską skórą w kolorze zielonym, ciągle jeszcze szykowną. .. I chociaż łódź nie wyglądała już tak doskonale jak za swych najlepszych czasów, pozbawiony pomruku swoich ośmiu cylindrów, ukryty wewnątrz silnik ciągle był drogocenny pomimo zaniedbania, które ujęło mu nieco wartości. Pomimo brudu i ran, jakie naruszyły te szlachetne linie, niewątpliwie był to wciąż istny cud, kołyszący się lekko na falach, jakby czuł, że ktoś mu się przygląda, jakby chciał widzów uwieść...

Oczami wyobraźni Boris zobaczył nagle nostalgiczne obrazy przeszłości, które przecież nie należały do jego przeszłości... Wyobrażał sobie wakacje swych gospodarzy na pokładzie łodzi. Młodszego o trzydzieści lat ojca, dziewczynki w białych skarpetkach, parę nart wodnych

na archipelagu... I Philipa pośrodku tego obrazu, wstrętnego smarkacza, już wtedy skażonego zbytnią łatwością otrzymywania wszystkiego, dostępnością wszystkiego, przewagą nad innymi, która od urodzenia stała się jego naturalnym udziałem. Było tak, dopóki nie ustawiono go w szeregu, nie wskazano miejsca i nie sprowadzono do poziomu... To był swoisty rewanż - ten widok łodzi w kiepskim stanie. Pozwoliło to Borisowi oczyścić się z własnych wspomnień wakacji spędzanych w zupełnie innych miejscach i okolicznościach, z obróconych wniwecz sekwencji życia i nudy... Możliwość kierowania tym niewielkim cackiem nabrałaby znaczenia, oznaczałaby, że wszystko można jeszcze naprawić.

- Proszę posłuchać, tylko panu to mówię, bo wiem, że jest pan młodzieńcem godnym zaufania. To ja sprowadziłem do domu tych żandarmów... Ciało, które znaleźli dziś rano, to był jakiś mężczyzna, który próbował dostać się pieszo na wyspę przez *cuisse des dames*, a to przejście, które znają tylko wtajemniczeni, dostępne jedynie podczas odpływu. Muszę panu wyznać, że przez moment zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie był...

Zdecydowanym ruchem Boris położył rękę na udzie starszego pana.

- Już dobrze... A poza tym przecież pan wie, że to doskonały pływak.
- Być może, ale tak w środku nocy... Od ósmej nie kursują już statki, więc nie ma się wyboru... Pan go

81

przecież zna, nigdy nie wiadomo, czy nie popił sobie wieczorem...

- Zadzwońliby, żeby powiedzieć, że jest w okolicy...

- Philip nie należy do osób, które zawracają sobie głowę formalnościami...
- W najgorszym wypadku znalazłby jakiegoś rybaka lub kogoś, kto ma jacht i poprosiłby o przywiezienie go na wyspę...
- Tak, z pewnością... Powiedzmy, że tamto tylko przemknęło mi przez myśl i bardzo proszę, by zachował to pan dla siebie.

Boris energicznie wytarł ręce, by pozbyć się śladów smaru, i zaczął szukać czegoś w kieszeni spodni. Przy okazji ojciec zauważył, że biel materiału jest znacznie mniej czysta niż poprzedniego dnia, mniej nieskazitelna. Siedzenia Rivy mocno ją nadwerężyły przez to, że chłopak klęczał przy silniku, usiłując go uruchomić...

Silnik był ponad wszelką wątpliwość zepsuty. Ojciec widział w tym metaforę upadku własnej siły, stan braku pragnień, co powoli kierowało go do brzegu... Tak miał dotrzeć, kołysząc się, do suchego doku, niczym stary, zużyty kadłub...

Spodnie były bardzo obcisłe, więc Boris musiał użyć siły, by wsunąć rękę do kieszeni. Wyjął z niej pogniecioną paczkę papierosów i zamyślony podniósł jednego do ust. Poczęstował ojca, ale ten odmówił, informując w roztargnieniu, że nie pali już od ponad dwudziestu

82

lat, i słysząc trzask zapalanej zapałki, podskoczył, jakby przestraszony... Dmuchnął na płomień w dłoni Borisa, wskazując stojące dookoła kanistry, zawierające benzynę, o której żaden z nich wcześniej nie pomyślał... A potem wybuchnęli szalonym śmiechem, który przyniósł im obu ogromną

ulgę.

Leżąc w półmroku salonu, Andre-Pierre zbierał siły, trupio blady, unieruchomiony dziwną słabością, która dopadła go na korcie. Już od dawna miewał ataki tężyczki. Była to jedna z tych wstydlivych rzeczy, z których mężczyźni nie lubią się zwierzać, zwłaszcza że przytrafiło mu się to po raz pierwszy od piętnastu lat, czyli mniej więcej od ukończenia studiów, od czasu, kiedy czuł się straszliwie słaby, bo tężyczka atakuje serce, które tłucze się wówczas niepewnie w piersi, ścina mrozem włókna nerwowe, co powoduje, że chory nagle staje się zupełnie bezbronny, atak odbiera wszelką możliwość obrony... Pomyślał, że największy wróg atakuje często w jedwabnych rękawiczkach, że nie mogło go spotkać nic gorszego, i to właśnie teraz.

Jedynie matka zdawała się naprawdę przejęta jego wypadkiem, ona zresztą zawsze brała na siebie rolę pielęgniarki. Została przy nim. To ona podała mu aspirynę, to ona położyła mu lodowaty kompres na czoło... Czuł całą mizериę swojej sytuacji, zwłaszcza że stan jego zdrowia zdawał się nikogo poza teściową nie interesować, nie naruszył dobrego humoru panującego w domu, nad którym jasno świeci słońce, woda w basenie kołysze

84

się łagodnie u stóp schodów, a tuż obok połyskuje morze... Wiedział, że jego żona jest pochłonięta przygotowaniami do kąpieli, więc nękał jej matkę, prosząc, żeby z nim została, nie odchodziła daleko, nadużywając w ten sposób szczególnego rodzaju łagodności, którą okazują ludzie najbardziej wrażliwi, kiedy widzą, że komuś dzieje się krzywda.

Była więc przy nim, przejęta i uległa, jakby nigdy nie miała dość

zajmowania się innymi.

- Czy mama naprawdę nie widzi, że to dziwny typ? Nie zauważa, jak on kręci się koło Vanessy...?
- A to dopiero! Widzę, że jesteś zazdrosny... Gdyby ona wiedziała, na pewno by jej to schlebiało.
- Ja wcale nie żartuję. Ale widzę, że mama uważa za coś normalnego, że Philip jeszcze nie przyjechał. A może wcale nie przyjedzie? Może czai się gdzieś w pobliżu i czeka, aż ten facet zrobi to, co ma zrobić? A może...
- Cóż ty opowiadasz, mój mały Pierre?
- A może coś mu się przytrafiło...
- No wiesz! Przecież dobrze znasz Philipa. Przypomnij sobie, w zeszłym roku przyjechał w ostatniej chwili, czternastego lipca rano, a po kilku godzinach wszystko było jak należy i wieczorem zrobił pokaz sztucznych ogni... Nie martw się, wszystko widzisz w czarnych kolorach, ale jutro rano on tu będzie. W głębi serca to naprawdę poważny chłopak, przecież wiesz, i tak naprawdę zawsze jest tam, gdzie trzeba, a to najważniejsze, nie sądzisz?

Kiedy więc Andre-Pierre podejmował wysiłek, żeby się podnieść, co było naprawdę trudne, na zewnątrz dał się

85

słyszeć ni to wystrzał, ni to głośne kasznięcie, a potem rozległ się wzmocniony przez echo pomruk. Rozpoznał dźwięk ośmiu pracujących cylindrów Rivy, które ryknęły w końcu pełnym gazem, zakłócając

panującą wokół ciszę chrapliwym, szczekliwym hałasem, tak donośnym, że zdającym się nieść nad całym wybrzeżem. Co za wariat mógł ustawić silnik na tak wysokie obroty i przyśpieszenie, brzmiało to teraz jak armatnie salwy...

Ten facet chyba naprawdę jest w czepku urodzony! Andre-Pierre'a jakby wcisnęło nagle w kanapę, gdy z całą ostrością zdał sobie sprawę, że dotychczas zupełnie nieznany Boris potrafił narzucić się temu domowi w ciągu dwudziestu czterech godzin, w ciągu dwudziestu czterech godzin poczuł się jak u siebie, i był tu na swoim miejscu bardziej niż on sam kiedykolwiek. To przywołało mu na myśl drapieżne zwierzę, które wdzie-
ra się na cudze terytorium, jedno z tych zwierząt, których wyłącznym celem jest zdominowanie reszty stada, podporządkowanie sobie samic i zdobywanie łupów... Może nawet w tej chwili dziewczyny przyglądają się, jak majstruje przy łodzi. Może nawet są już na pokładzie, a on, z nagim torsem, wydaje rozkazy, panując nad dwustoma końmi mechanicznymi, które do niego nie należą...

- Przecież łódź nie była na przeglądzie co najmniej od dwóch lat! On jest kompletnie nieodpowiedzialny. Niech mama idzie mu powiedzieć, na miłość boską...!

Matka odczuła niejaki rozczarowanie, widząc, że zięć doprowadził się do stanu takiego pobudzenia, zwłaszcza iż była przyzwyczajona do rezerwy z jego strony. Jego oschłość i dobre maniery usprawiedliwiały trzymanie wszystkich na dystans, to prawda. Nie był ani ciepły,

86

ani serdeczny, ale aż do dziś niezawodny i pewny siebie. Nigdy by nie przypuszczała, że pewnego dnia może okazać, jak bardzo potrafi cierpieć,

czuć się zbity z tropu, gotowy wybuchnąć płaczem...

Wzięła go za rękę i spytała, co właściwie jest nie tak. Doskonale wiedziała, co to współczucie, więc poprosiła, by w końcu się zwierzył, wyrzucił z siebie wszystko.

- Nie wiem, to tylko przeczucie, ale ten typ wygląda podejrzanie. W każdym razie jestem przekonany, że jego noga nigdy nie przestąpiła progu szkoły w Buzenval.

Obie siostry przemknęły przez schody w podskokach, rozpromienione. Włożyły jednakowe stroje, plażowe suknie w kolorze bladego pastelowego błękitu, które ukazywały ich opalone nogi. Codziennie wyczekiwały na późne popołudnie, żeby pójść na plażę. Andre-Pierre zdziwił się, że nie zabierają ze sobą dzieci. Na jego pytanie odpowiedziały z tą doskonałą bez troską i indolencją, charakterystyczną dla osób, które właśnie wypaliły jointa:

- Ależ dzieci pojechały na przejażdżkę łodzią, o co ci chodzi...?

Dowiedział się ponadto, że na pokładzie nie ma teścia, a więc dzieci są zdane na opiekę tego wariata, tego kompletnie naćpanego szaleńca. Dzieci w łodzi mknącej z prędkością ponad trzydziestu węzłów na najeżone podwodnymi skałami morze! Ten ćpun z pewnością zaplanował porwanie maluchów po wcześniejszym wyeliminowaniu ich wuja... Nagle choremu powróciły siły i zerwał się na równe nogi.

świelnymi morza, a na nim mnóstwo statków i łodzi, które płynęły we wszystkich możliwych kierunkach, zostawiając za sobą ślady przypominające rozrzucone bierki, nie do policzenia. Ślizgacze, z dziobami podniesionymi do maksymalnej wysokości, płynące powoli żaglówki, inne tkwiące z zarzuconą kotwicą. Było ich bez wątpienia mnóstwo, a wszystkie wydawały się stąd maleńkie i prawie identyczne. W palącym słońcu wszystko lśniło jak w lustrze, jakby każde pojedyncze ziarenko soli skrzyło się z osobna i kłuło w oczy, przesłaniając wszystko ostrym blaskiem.

Swoim postępowaniem Boris zasiał u sióstr niepokój, przeradzający się szybko w strach, zwłaszcza że nie wzięły dla dzieci kamizelek ratunkowych. Chciał wywołać w obydwu kobietach jeszcze większe poczucie winy, a że wyczuwał, iż po tym, co zdażyły wypalić, nie zdają sobie jasno sprawy z powagi sytuacji, żeby je dotkliwiej urazić, wyciągnął dwie nieszczęsne kamizelki, wiszące w jego rękach jak zdobycz i tak puste w środku, że wydawały się niemal patetyczne.

Niepokój przypomina krople wody drążącej skałę. Pojawia się niedobre przecucie i nagle lato traci urok. W jednej chwili okrzyki dobiegające z zewnątrz przestają być radosne, wyrażają lęk, morze wydaje się zbyt głębokie, słońce przestaje lśnić... Vanessę zirytowały oznaki hysterii męża, wybuchnęła gniewem. Miała dość życia z tym ponurakiem, gaszącym wszelkie oznaki radości, jednocześnie jednak czuła się winna, winna i z powodu błękitnych sukienek, które siostry wybierały z taką

tak bardzo chciała się podobać...

W końcu parku mieli do dyspozycji trzystasześcienie-sięciostopniową panoramę, a więc z oczami piekącymi od migoczącego morza przeczesywali wzrokiem zatokę w poszukiwaniu Rivy. W pośpiechu znaleźli tylko dziecięcą lornetkę z różowego plastiku, zwykłą zabawkę, którą Andre-Pierre chwycił z przerażającą łapczywością. Różowa lornetka przechodziła teraz z rąk do rąk, ale łodzi nie było widać.

Matka zbierała cały arsenał medyczny, który ustawiła wcześniej przy kanapie, i zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Najbardziej niepokoił ją sam Andre-Pierre, gdyż odkryła, że był bardziej wrażliwy i bezbronny, niż przypuszczała. Taki brak zimnej krwi, taka słabość, fakt, że obcy człowiek doprowadził go do silnego wzburzenia - to wszystko mocno naruszyło jej dotychczasowe wyobrażenie o zięciu, którego do tej pory uważała za filar zarówno rodziny, jak i przedsiębiorstwa. To, co w nim odkryła, było tym bardziej niepokojące, że oczekiwała od niego opieki nie tylko nad Vanessą i dziećmi, ale także nad Philipem i nią samą. Dlaczego nie...? Jednakże wątpić w uczciwość Borisa, przyjaciela Phili-pa, znaczyło dla niej tyle samo, co wątpić we własnego syna...

Odłożyła trzymane w rękach lekarstwa, wzięła leżące na stole okulary i poszła na piętro. Drzwi pokoju dzieci były szeroko otwarte, a na podłodze leżały w nieładzie pluszowe zabawki różnych kolorów, zabawki, których

90

jeszcze przed godziną tu nie było. Pośrodku tego wszystkiego widać było zdjęcie chóru, pomazane jakimiś gryz-mołami, z paskudnymi brodami dorysowanymi uduchowionym, szykującym się do komunii chłopcom...

Brody domalowano nie tylko na podbródkach, także na policzkach, nosach. Twarze chłopców zostały tak dokładnie zamazane, że pozostał tylko widok równo stojących sylwetek. Chórzyści byli nie do rozpoznania. To była nowość. Jeszcze nigdy nie odczuwali czegoś podobnego, jeszcze nigdy nie pędzili z taką prędkością... Prawdziwym odkryciem było podskakiwanie na falach zatoki, zachłystywanie się przemykaniem nad grzywami fal i uderzaniem o powierzchnię wody. Najbardziej fascynował ich ten niekończący się lot, jakby łódź nie dotykała fał, prześlizgiwanie się nad nimi, co podobne było do efektu puszcanych na wodę kaczek.

Było to przeżycie jeszcze mocniejsze, jeszcze bardziej podniecające niż ludowe festyny, na które ojciec nie chciał ich prowadzić, bardziej podniecające niż jazda na karuzeli czy inne atrakcje wesołego miasteczka. Teraz odkrywał się przed nimi zupełnie nowy wymiar, podskoki były czymś całkiem innym niż dotychczasowe zabawy, ryk silnika wprawiał chłopców w nieopisane wibracje, do teraz nieznanne.

Lot nad falami wydobywał z nich niepohamowane okrzyki pomieszane ze śmiechem. Był to śmiech przerażenia czy okrzyki radości? Sami nie wiedzieli, tak jak nie wiedzieli już nic poza tym, że nie chcą, by ta nowa zabawa się skończyła... To wszystko nagle ich zmieniło,

92

bo nie było to dziecięce trzepotanie się na dmuchanych materacach w ciepłe popołudnia, na leniwych falach. Mocny wiatr, który zatykał im teraz uszy, był niewyczerpany, jego uderzenia w policzki trwały bez końca, a wszystko to tylko dla kawału, dla śmiechu. I to towarzyszące szalonej jeździe uczucie - wspaniałe przeświadczenie, że robi się głupstwo...

Dopiero po rozpoznaniu poszczególnych elementów, kiedy można je w końcu oszacować, sklasyfikować, nie przestając podskakiwać na wodzie, zaczynają one uruchamiać inne wrażenia, wywoływać impulsy pochodzące z zewnątrz, niezwiązane z logicznym rozumowaniem.

Umożliwiają jasność widzenia, a wówczas rodzi się strach. Nie ma już nic innego; staje się on pączkującym ziarnem, zapachem, który wzmagają pożądanie. Boris doskonale znał to uczucie i bardzo je lubił, odczuwał nieodpartą chęć posunięcia się jeszcze dalej, doprowadzenia eksperymentu do końca. Wszystko to stawało się ujściem jakiegoś chorobliwego braku satysfakcji, zupełnie jakby to, co właśnie wpadało mu w ręce, stawało się coś warte jedynie przez cierpienie innych i dopiero wtedy stanowiło prawdziwą zdobycz.

Nadszedł moment, kiedy w dzieciach coś się załamało, odczuły nadmiar wrażeń, przekraczający stopień tolerancji właściwy dla istot w ich wieku... Najpierw wybuchały głośnym śmiechem, potem na ich buziach pojawił się wyraz dezaprobaty dla tego zbyt szybko uciekającego morza, a potem nagle rozległ się płacz, krzyki i zaklęcia. Ze ściśniętymi gardłami chłopcy wzywali matkę, jakby było naturalne, że zawsze jest w pobliżu,

93

jakby wystarczyło tylko ją zawołać, by cała ta szalona karuzela zatrzymała się w miejscu.

A Boris specjalnie wzniecał wysokie fale, które kołysały przepływającymi obok żagłówkami, starał się przemknąć jak najbliżej nich, zakłócał spokój zatoki rykiem silnika i głębokim śladem pozostawianym za łodzią, jakby w ten sposób chciał wymieść z pamięci wspomnienia plaży z dzieciństwa, urazę, z jaką oglądał łodzie tylko z

brzegu, i rodziców, których ten widok zupełnie nie przejmował, zwłaszcza że i tak uważali nawet krótkie wakacje nad wodą za ekstrawagancję...

Teraz nadeszła jego kolej. To on płynął tą luksusową łodzią, to on zostawiał za sobą wzburzony ślad. Tym razem to on wywoływał morską pianę, która żeglarzy przyprawiała o wybuch wściekłości. To na niego patrzono z brzegu z naganą i zazdrością. To on trzymał kierownicę jedną ręką i jeszcze nigdy nie czuł się tak swobodnie, tak ekstrawagancko...

Musiał niemal muskać innych, zbliżać się do nich jak do świecy, żeby ją potem zdmuchnąć. Tak samo było z jego przeszłością - jeśli nie zgasi ostatnich wciąż żarzących się wspomnień, to ślady oparzeń powrócą, kiedy znowu zaczniesz wspominać, oparzy się.

Bliżej otwartego morza podrażnił się trochę ze stojącą na kotwicy flotyllą łodzi wypełnionych spokojnymi urlopowiczami, wzniecił wysokie fale, przepływając tuż obok solidnego, trzynastometrowej długości jachtu, który był niczym wobec tego monstrum, dygoczącego pod jego dłońmi, tego ślizgacza, którego ośmielił się prowadzić. Ale trzeba tylko odwagi, by przycisnąć gaz

94

do dechy. Dwa uchwyty z kości słoniowej, doskonale pasujące do spoczywających na nich dłoni, okazały się nieprawdopodobnie uległe... W takiej sytuacji przerażone krzyki dzieci stały się tylko tłem dla jego szalonych wyczynów, tłem rozmywającym się w ogólnym szale; nawet ich nie słyszał.

Ojciec wyszedł z hangaru wykutymi w skale schodami i ujrzał wyraz

twarży żony, wyraz, który wcale do niej nie pasował. Na jej policzkach widoczny był cień, który zawsze oznaczał, że nie wszystko układa się tak, jak należy. Rzuciła okiem na rzeczy, jakie mąż przewiesił sobie przez ramię — spodnie i koszulę Borisa - a potem szybko włożyła je do pralki. Przeszukała kieszenie i zakamarki materiału, niczego nie znajdując oprócz odrobiny tytoniu, paczki papierosów i bibułki do skrętów.

- Swoją drogą to dziwne, że nie ma portfela, żadnych dokumentów ani drobnych...

Za całą odpowiedź męża musiało jej wystarczyć ciężkie westchnienie, w którym dezaprobata mieszała się z ironią. Zamiast komentarza do jej uwagi powiedział tylko, że jest w znakomitej formie, że już dawno nie czuł się tak świetnie; właśnie idzie do swojego pokoju, żeby przejrzeć papiery Rivy. Chce to zrobić, bo może znowu będzie pływał, gdyż widok wypływającej z hangaru łodzi sprawił, iż poczuł potrzebę morskich przejażdżek.

Andre-Pierre nie mógł usiedzieć w miejscu, lecz nie przestawał przyglądać się zatoce. Chodził z jednego

95

krańca terenu w drugi, by mieć jak najlepszy widok. Matka przyglądała się mu przez okno. Przez głowę przemknęła jej pewna myśl, którą odrzuciła wzruszeniem ramion, ale jednak myśl powstała. Matka pomyślała o tym, jaką postawę przyjmie zięć w ekstremalnej sytuacji, jak by na przykład zareagował, gdyby pewnego dnia pozbawiono go kontaktu z dziećmi, jak daleko mógłby się posunąć, żeby je odzyskać...

To było idiotyczne, tak głupie, że widziała w tej myśli rodzaj piętna,

którym naznaczony był jej zięć - ten posępny strach, który zasiał we wszystkich w wyniku swych obaw i dziwacznych podejrzeń. Ostatnio jednak całe jego zachowanie sprowadza się właśnie do tego. Zepsuł takie bajeczne popołudnie, cudowne chwile wakacji, zatruwając je swoimi lękami...

Już sobie wyrzucała, że taka myśl w ogóle przyszła jej do głowy.

Ale po raz pierwszy poczuła do zięcia żal.

To Vanessa wypatrzyła Rivę, wracającą od zachodu przez zatokę...

Oglądany przez lornetkę spektakl, widok podskakujących na tylnej ławce dzieci wywołał w niej okrzyk radości... Szybko podała lornetkę Julie.

Andre-Pierre nie chciał z niej skorzystać. Przyglądał się zatoce bez entuzjazmu, w ogóle bez żadnych oznak złości czy też litości. Czuł się bardzo rozczarowany, gdyż znowu coś stracił. Ten typ po raz kolejny był górą, a on sam stracił następną okazję, być może ostatnią, do tego, by przybyłego zniemacka Borisa wszyscy domownicy znienawidzili.

Wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko niemu. Już niczego nie był pewien, nawet własnej intuicji. Teraz nie był nawet przekonany, czy ją w ogóle ma, nawet w stosunku do własnej rodziny... A przecież od pierwszych dni, kiedy zaczął dla nich pracować, czuł spokojną pewność, zdawał sobie sprawę, że sytuacja mu sprzyja, że trafił na odpowiednią chwilę, by się wykazać. A teraz sam nie wiedział, czy nie zawiodły go wszystkie rachuby, choć przecież uważał się za zupełnie niezłego stratega pomimo pewnych ułomności charakteru. Stąd zapewne

97

brała się jego mania podejrzliwości wobec innych. Tylko przebiegły lis wyczuje w pobliżu drugiego takiego lisa.

Zbliżając się do brzegu, Boris nieco zwolnił, ślizgał się po powierzchni fal bez wstrząsów, prowadził łódź po wodzie jak po gładkim filcu. Za przednią szybą stali na ławeczce obydwaj malcy, jak zwycięscy gladiatorzy, z rozwianymi na wietrze płaszczami i skierowanymi w stronę brzegu szpadami - takie dwa śliczne papierowe, dopiero co kupione ubranka, lśniące kolorami.

- Już są! - krzyknęła Julie do ojca, który przyglądał się wszystkiemu z okna na górze.
- Widzę, widzę - odpowiedział spokojnie, obserwując zamieszanie, które wstrząsnęło domem.

Zauważył jednak, że Boris zbliża się do brzegu, zupełnie nie respektując szlaków wyznaczonych do żeglugi, z dala od boi, co przy zaczynającym się właśnie odpływie było objawem kompletnego braku odpowiedzialności.

Już po raz dziesiąty dobiegający z tarasu głos wzywał wszystkich do stołu. Był to nakaz, który odbierali z roztargnionym pośpiechem, niezbyt posłusznie. Wyszędłszy z pokoju, ojciec ujrzał Borisa w drugim końcu korytarza, w drzwiach niebieskiego salonu, do którego latem nikt nie wchodził. Nie widział go wyraźnie, ale patrząc na niego przez niedomknięte drzwi, natychmiast zorientował się, co tamten podziwiał. Cichym krokiem skierował się zwinnie w stronę salonu; bardzo lubił efekt zaskoczenia. ..

- No i cóż, nie idzie pan jeść?
- Ależ idę, chciałem tylko popatrzeć...
 - To robi wrażenie, prawda? Jest tu nawet jeden *t* siedemnastego wieku.
- To pewnie ten?

- Właśnie tak... Czy pan także posiada broń? To Znaczy chciałem spytać, czy zna się pan trochę na tym.
- Zupełnie nie.
- A mógłbym przysiąc...
Ojciec wsunął rękę pod gablotkę i końcami palców ujął klucz.

99

- To zwykła ostrożność, rozumie pan, ze względu na dzieci... Magazynek zresztą i tak są w moim pokoju, naboju też tu nie ma, niektóre to dziewięć milimetrów...

Boris udał zainteresowanie zbiorem, zwłaszcza że ojciec zaproponował mu wycelowanie z karabinu, jakby miał do czynienia z koneserem.

- Niczego pan nie zauważył...?
- Nie.
- Tu są trzy lufy: dwie gładkie i jedna gwintowana. Boris przybrał minę pełną podziwu.
- W jakim celu?
 - By mieć dwa kalibry w jednej broni, duży i mały, podczas polowania nigdy nie wiadomo, co się trafi...
- Pan poluje?
 - Powiedzmy, że polowanie było tradycją rodzinną, ale ja polowałem jedynie na takie drapieżniki, które mnie samego traktowały jak zdobycz... Nie brakowało ich w naszej posiadłości, wie pan, zwłaszcza

dzików. Nic mnie tak nie denerwuje jak przedstawiciele naczelnych, które dewastują wszystko, co im stanie na drodze...

Boris skierował lufę w stronę stojących pod ścianą fajansów. Ojciec korygował jego postawę, jakby jego gość naprawdę zaraz miał zacząć strzelaninę.

- Nie tak, trzeba bardziej wysunąć ramię i trochę je obniżyć, o tak!
- Właściwie to samoobrona...
- Doskonale pan to zrozumiał. Czy pan także poluje?
- Nie.
- A jednak wydawało mi się...
- Nie polowałem nigdy.

100

- Ale musi być sporo zwierzyny, którą by pan nie wzgardził...
- Powiedzmy...
- Nie, proszę nie szukać odpowiedzi za wszelką cenę, niech pan nie szuka sformułowań tylko po to, żeby mi sprawić przyjemność...

Dochodzący z tarasu głos błagał, by rodzina wreszcie zasiadła do stołu.

Boris skorzystał z okazji, by odłożyć strzelbę na miejsce w gablocie...

- Jeszcze sekundę, niech pan jeszcze przymierzy się do tego, z lunetą optyczną. Nie sądzi pan, że jest bardzo lekki? Dla kogoś w moim wieku to ideał... Jedyne problemy polegają na tym, że siła odrzutu jest po prostu straszna, z moją artrozą to nie uchodzi na sucho...
- Nadal się pan nim posługuje?
 - Na wyspie groźne zwierzęta należą do rzadkości...

Boris wziął na muszkę jedną z waz, uszczęśliwiony

jak dziecko czerwonym, przesuwanym się punktem. Celował nim to w jedną, to w drugą stronę. Fantastyczna zabawa!

- Szczerze mówiąc, to bardziej gadżet niż prawdziwa broń. Celowanie do dzika za pomocą tego czerwonego światełka nie ma żadnego sensu, chyba że zwierze chciałoby z myśliwym współpracować i tkwiłoby w jednym miejscu, ale przecież coś takiego się nie zdarza, te zwierzęta wyczuwają, że są obserwowane, i nigdy nie zachowują się spokojnie. Proszę, niech pan wyceluje w tę wazę i spróbuje się nie poruszać. Trudne, prawda?

Zasapany wspinaczką po wysokich schodach, Andre-Pierre wszedł właśnie na tę scenę: Boris, z bronią na ramieniu, obracał się powoli, celując we wszystko po kolei... Powiedział, że matka czeka, by wszyscy

101

w końcu zasiedli do stołu; sprawa stawała się pilna, nie z powodu stygnącej zupy, ale wręcz odwrotnie - przygotowane na dziś *gaspacho* mogło się zagrzać. Ujrzał, że ojciec wkłada strzelbę z powrotem do gablotki, dokładnie zamyka oszklone drzwiczki i wsuwa klucz na swoje miejsce.

Pochodząca z kuchni południowoamerykańskiej zupa na zimno.

II

- *Dasz mi wszystko, a w zamian ja cię ochronię,..*
- *Przed kim?*
- *Przedemną.*

- Jednak udało mu się zaciągnąć ich wszystkich na plażę, jakby nie można było zrobić niczego innego, jakby ta plaża była celem samym w sobie. W dodatku poddał im myśl o pikniku, przekonał, że należy wyjść z domu w miarę wcześnie, niby po to, żeby znaleźć dobre miejsce, i oczywiście zabrać ze sobą jedzenie i picie, jakby jego zamiarem było spędzenie tam całego dnia. Poza tym pomysł ten był łatwy do realizacji, wystarczyło tylko zejść w dół po wykutych w skale schodach i już się stąpało po piasku, u stóp posiadłości.

Szaleństwo przygotowań i akceptacja pomysłu wynikały właśnie z jego prostoty. Jedzenie na plaży to znaczy robienie tego, co tysiące ludzi robi przez całe lato, ludzi niemających żadnych projektów poza spędzaniem kolejnych dni na plaży. Kiedy rzucił tę myśl wczoraj wieczorem, wszyscy byli zaskoczeni, jednak bardzo szybko dali się przekonać; członkowie rodziny uświadomili sobie nagle, że już od wielu lat nie spędzili dnia na plaży i że nikomu nie przyszło to nawet do głowy.

Siedząc przygotowania, ojciec poczuł się od razu znacznie lepiej, przypomniał sobie czasy, kiedy prowadził

dzieci na plażę, żeby mogły się wykąpać; wtedy jeszcze nie kupił łodzi, a koło domu nie było basenu.

Dziewczyny wyciągnęły maty plażowe z rafii, których nie używano od dawna, założyły proste, zapinane z przodu sukienki, pod którymi miały dwuczęściowe kostiumy z cienkiego materiału.

Andre-Pierre nie ośmielił się zaprotestować. Zaakceptował to pospolite ruszenie. Bojąc się, że jego dezaprobata będzie zgrzytem, nie okazywał wrogiej reakcji, a nawet zaopatrzył się w dwie książki. W końcu musiał jakoś spędzić ten czas; jedna to była powieść, a drugą poświęcono metodom szachowym. Lektura tej drugiej szybko go wciągnęła. Nie rozumiał łatwości, z jaką inni rzucali się do wody, faktu, że nie cierpieli z powodu pokazania się w kostiumach kąpielowych. A był to jeden z ubiorów, których on sam nie znosił. Nie znosił ponadto słońca, a morze zawsze było dla niego za zimne. Najgorsza jednak była ta panująca wokół jarmarczna atmosfera... Ci wszyscy ludzie w slipkach, pełno dzieci, które krzyczą i biegają we wszystkich kierunkach, chlapią dookoła, piszczą, kręcą się między wodą a piaskiem, nie troszcząc się o dogodne przejście dla innych, dzieci, które czują się jak u siebie, które ośmielają się nawet przebiegać po cudzych stopach - niby dlaczego nie? - zasypywać plażowiczów piaskiem lub polewać wodą. I to wszystko przy całkowitej obojętności innych plażowiczów...

Kątem oka obserwował własną rodzinę, z jeszcze większym niedowierzaniem i nieufnością niż poprzedniego wieczoru. Musiał przyznać, że w tej konfiguracji Boris był doskonały, organizował zabawy dzieciom, znajdował czas dla ojca, umiał dobrać właściwe słowa, dla ojca,

który potrzebował dużo czasu, by zanurzyć się w wodzie.

106

Wykrzykiwał nawet coś do matki, bez żadnej żenady, kiedy pływała spokojnie wzdłuż brzegu, bawił się nurkowaniem pod nią i nagłym wynurzeniem tuż przed nią, co ją rozśmieszało. Siostry też się śmiały, bawiło je dosłownie byle co...

W takich sytuacjach Boris stawał się jeszcze bardziej ruchliwy niż zazwyczaj. Przechodził z wody na piasek, jakby nie stanowiło to dla niego żadnego problemu; i tu, i tam czuł się równie swobodnie, nawet mokrymi dłońmi udawało mu się zapalić papierosa, po czym już za chwilę wracał do morza. Są tacy ludzie jak on, których ciała pasują do każdego żywiołu; kiedy trzeba, ślizgają się albo poruszają zgodnie z prawami natury. Właśnie wtedy, przez czysty paradoks, pożądanie miesza się z odrazą. A prawda jest taka, że patrząc na te opalone na miodowy kolor ramiona, widząc te wyprofilowane formy, zarys mięśni, tę harmonię ciała, musiał przyznać, że każda kobieta mogłaby mieć ochotę, by dotknąć takiego ciała.

Między mężczyznami tego typu fascynacja może zrodzić chęć otarcia się o ideał, stać się jego kumplem, uczestniczyć niejako w jego sile przez samo przebywanie w jego towarzystwie. Tacy faceci zresztą zawsze mają mnóstwo kumpli, wszędzie zdobywają sobie przyjaciół; to ich naturalna umiejętność. Bywanie w towarzystwie pięknego młodzieńca to korzystanie z jego władzy i możliwości, uczestnictwo w jego dominacji. Nie ulegało wątpliwości, że Philip, przy swojej skłonności do ulegania wpływom, musiał poczuć siłę tego przyciągania. Philip pozostawał przecież zawsze pod wrażeniem tego wszystkiego, co błyszczący, odnosił się z czcią do władzy i siły, nieważne jakiej. Chodziło o to, by się o nią otrzeć, dodając wartości samemu sobie.

Obie siostry bawiły się z dziećmi wśród unoszących je fal. Ojciec wygrzewał swój reumatyzm, spacerując wzdłuż brzegu. Boris zaś rozmawiał z matką pod rozłożonym parasolem, opowiadał o *shiatsu*, proponował masaż odprężający, kładł dłonie na jej ciele, np. między łopatkami, przeciągał palcem po plecach wzdłuż kręgosłupa...

Ten facet był nie do zniesienia ze swoją manią dotykania, traktowania wszystkiego z całą swobodą dostępności. Andre-Pierre miał coraz więcej kłopotu ze skoncentrowaniem się na zagadnieniach szachowych, czuł się zażenowany przebywaniem tak blisko teściowej, którą Boris naprawdę zaczął masować, przesuwając ręce po jej plecach, co rzekomo powinno ją odprężyć. Miała zamknięte oczy i rzeczywiście wyglądała na zrelaksowaną.

Andre-Pierre poczuł chęć ucieczki. Wyciągnął się jednak na macie i położył książkę na twarzy. Uspokojony szumiącym refrenem fal, próbował pozbyć się wszelkich uraz. Mimo hałasu morza zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół, słyszał mówiącego nie wiadomo do kogo ojca, piszczące bliźniaki, dyskutujące półgłosem siostry i wybuchającą od czasu do czasu śmiechem matkę. Po raz pierwszy udało mu się naprawdę odprężyć, uspokoić, i to na plaży, wśród tych wszystkich ludzi...

- No to jak, cwaniaczku, miło spędzamy czas?

Na te słowa poderwał się na nogi.

Ale nic się nie działo. Boris nadal kucał nad matką i masował jej kark.

Słowa musiały dotrzeć skąd indziej, może od sąsiadów z lewej czy też z prawej strony.

Kiedy obiad się skończył, wszyscy siedzieli nadal wokół stołu na dole,

mniej lub bardziej rozleniwieni ciepłem nocy. Andre-Pierre w pokoju na piętrze próbował zmywaczem przywrócić zdjęciu pierwotny wygląd. Zawsze miał skłonność do gier wymagających precyzji, w dzieciństwie poświęcał dużo czasu makietom samolotów, poszukiwaniu rozwiązań szachowych; potem z taką samą starannością przykładał się do studiów, temu celowi podporządkował całą resztę swego życia.

Jego drobiazgowość, czasami przesadna, przyniosła rezultaty. Czerwone i żółte brody poczęły powolutku znikać, pocierane bawełnianą ściereczką, jedna po drugiej. Pod zieloną udało mu się rozpoznać Philipa, i to mimo upływu ponad piętnastu lat od chwili wykonania fotografii. Prawdę mówiąc, szwagier nie bardzo się w tym czasie zmienił, ciągle miał na twarzy wypisany wyraz swoistej nonszalancji, nawet nie starał się lepiej wyglądać. Obok jego znajomej twarzy znajdowały się inne, równie chłopięce oblicza, wszystkie tak samo niewinne i całkowicie nieznane. Andre-Pierre nie dostrzegł jednak najmniejszego choćby śladu rysów Borisa, nawet w ostatnim

109

rzędzie. A przecież powinien gdzieś tu być, wszystko byłoby wtedy o wiele prostsze...

Na próżno starannie ogolił brody wszystkim chłopcom, odświeżył fotografię najlepiej, jak umiał. Kiedy widoczny na niej chór był już dostatecznie czytelny, jedno nie ulegało żadnej wątpliwości: wśród tych wszystkich twarzy jednej wyraźnie brakowało... No chyba że Boris zupełnie się zmienił, ale by się o tym przekonać, należało wyczerpać wszystkie siły.

I wtedy znów wszystko się zatrzęsło; wątpliwości i podejrzenia powróciły jak uparty ból głowy. Ten typ nigdy nie był w Buzenval, ci dwaj nie mogli się więc tam poznać, a jednak intruz nie obawiał się przybycia Philipa... Wydawało się zresztą, że wcale na niego nie czeka, ale nie było po nim widać żadnej obawy czy niepokoju. A może obaj byli w zмовie? Wszystko wspólnie zaplanowali, wymyślili jakiś manewr, a on przybył go zrealizować.

Z dołu wzywano Andre-Pierre'a na kawę, ale wolał nie schodzić. Przygotował sobie kąpiel, w ten sposób mógł spokojnie jeszcze raz przemyśleć wszystkie hipotezy. Przez okno dobiegał gwar rozmów przy stole. I znowu dziewczyny śmiały się jak szalone, z wyraźną przesadą, był pewny, że dostały kolejnego skręta, musiały go wypalić gdzieś koło basenu, w ukryciu; już nieraz je przyłapał, jak chowały się w tym miejscu, unosił się stamtąd mały dymek.

Zanurzył się w pianie kąpieli, był jednak zbyt spięty, by poczuć prawdziwe odprężenie. Wydał się sobie jeszcze

110

bardziej osamotniony niż dotychczas, w środku niby spokojny, ale na zewnątrz drżący... Dolał ciepłej wody. Słyszał strzępy rozmów prowadzonych na dole. W pewnej chwili zorientował się, że nie słychać Borisa, dziewczyny, ojca, matkę i dzieci - owszem, ale jego nie. Nie słychać go było już od kilku minut, nie docierał jego chichot, dźwięk jego głosu. Pewnie musiał odejść od stołu, może wszedł do domu, czemu nie...? Andre-Pierre wyszedł z wanny i starannie zamknął na klucz drzwi od łazienki.

Do pasji doprowadzał go fakt, że nie mógł nic rodzinie powiedzieć, wyjawić tego wszystkiego, co wiedział o Philipie i popełnianych przez niego błędach. Nikt z domowników nie wiedział, ile musi się nagłówkować, by dochować tajemnicy, ile musi się napracować, by trzymać Philipa na odległość, i ile to wszystko kosztuje; ile kosztował adwokat, bez którego chłopak dostałby nie dziesięć miesięcy, ale co najmniej dwa lata... Dla ojca, który do tej pory regularnie sprawdzał stan finansów i transfer pieniędzy, wszystkie sumy wysyłane co miesiąc na konto American Bank stanowiły dowód przygotowań ewentualnych inwestycji w Stanach... Nigdy nie mówił o pieniądzach wysyłanych bezpośrednio do Philipa... I dopóki Philip pozostanie na uboczu, nie będzie się wtrącał do spraw firmy, dopóty Andre-Pierre zachowa wiedzę o jego sprawkach dla siebie, niczym doskonała, nieprzepuszczająca niczego izolacja.

Gdy tak leżał w stygnącej wodzie, trudno mu było zrozumieć powody, dla których szwagier przysłał człowieka od tak zwanej czarnej roboty... Chciał dostać więcej?

111

A może zamierzał go przestraszyć? Pojawienie się tego zbira nie wróżyło niczego dobrego... Chyba że przez cały czas pobytu będzie po prostu napawał się komfortem, korzystał do woli z basenu, łodzi i całej reszty, dlaczego nie... ?

Nagle poderwał się na równe nogi i nastawił bacznie ucha. Już wcale nie był pewien, czy słyszy na dole głos Vanessy... Rzeczywiście, już od kilku minut nie było jej słyhać. Poczł dreszcze, przez plecy przebieglł mu jak-

by zimny spazm; czyżby znowu nadchodził atak tężycz-ki? Zamknął okno.

W zimnej już prawie wodzie doświadczył nagłego przyływu wyostrzonej intuicji, ujrzał coś w rodzaju projekcji otaczającej go rzeczywistości. W jakiś sposób będzie musiał stawić jej czoło, bez względu na okoliczności przygotować się na najgorsze... On, dla którego wakacje były zawsze rodzajem odosobnienia, niemal przyjaznego aresztu, on, który okopywał się w tej wygodnej, przytulnej konfiguracji, niczym niezagrożony, w odpowiedniej odległości od wszystkich plażowych herosów i innych pokus. Tak naprawdę wakacje były odbiciem jego wewnętrznego życia i oto proszę, po raz pierwszy odczuwał strach... Obecność tego Borisa okazała się gorsza niż wtargnięcie na jego terytorium, to tak jakby karaluch zakradł się do jedwabnej pościeli łóżka...

Zdawało mu się, że słyszy dwa głosy na korytarzu, stłumione przez gruby dywan kroki... No i co z tego?

Realistyczne spojrzenie na całą sprawę niczego nie zmieni. Ten typek potrafił się zadomowić, przylgnąć do wszystkich. Od tej chwili należało go po prostu znosić, zaczekać, aż pojawi się nienawiść i zacznie się rozwijać.

112

Chciałby jakoś usprawiedliwić swój brak odwagi, wywołać w sobie prawdziwą złość, powiedzieć facetowi, że mu przeszkadza, kazać mu się wynosić, przeprowadzić męską rozmowę. Takie niby to proste, ale jakież trudne do wykonania.

A przecież należałoby jeszcze wziąć pod uwagę Phi-lipa, który bez wątpienia poczuje się o wiele silniejszy w towarzystwie sprzymierzeńca.

Dwóch na jednego... Nie ma mowy o równości szans...

Woda stała się zupełnie zimna i Andre-Pierre dygotał, chciał to jakoś opanować, ale dygotał ciągle... Oby tylko nie pojawił się jeszcze i Philip! Wieczorny spacer, taki, podczas którego człowiek wolnym krokiem przechadza się wśród uciszonej natury, kiedy jakby wychodzi poza otaczające go rzeczy... Czas już się nie liczy, spacerowicz zagłębia się we własne skupienie, dookoła wszystko jest uśpione, zmierza ku błogiemu zmęczeniu.

Tego wieczoru ojciec nie czuł się na tyle dobrze, by udać się na spacer. Jedyne, czego pragnął, to pozostać przed domem, rozkoszować się płynącym od trawników chłodem, słuchać oddechu morza, które było prawie nieruchome. Matka nigdy nie chodziła wieczorami na spacer. Z pewnością trochę bała się ciemności, ale przede wszystkim martwiła się o gospozię i chciała jej pomóc, by ta mogła wyjść wcześniej.

Julie także wolała zostać w domu, nawet nie z powodu zmęczenia, po prostu miała ochotę porozmawiać z ojcem... Vanessa i Boris poszli więc sami wzdłuż nadbrzeżnych skał, wąską ścieżką, prowadzącą do wody. Z tej strony wybrzeże było całkowicie odsłonięte i opustoszałe, nie stał tu żaden dom, który przesłaniałby wi-

114

dok na zatokę; nie było także prawdziwej plaży pomiędzy skałami a oceanem.

Boris nie znał tego zakątka. Wiedział za to doskonale, że są chwile, kiedy skrupuły nikną na skutek magii momentu, nabiera się nagle dystansu do samego siebie, a w efekcie splotu okoliczności nadchodzi przyzwolenie.

Przez sam fakt, że ocierał się leciutko o to nieznajome ciało, uciszał wyrzuty sumienia i przestawał się wahać. Tamtej nocy, kiedy pływali, Vanessa doskonale wyczuła, jak bardzo siostra i Boris zbliżyli się do siebie, świetnie słyszała te skradające się korytarzem kroki, tak mało dyskretne. Była skłonna zaryzykować wkroczenie na dobrze już poznaną drogę, zwłaszcza że nie ryzykowała niczego oprócz podjęcia gry.

Lekkie fale podpływały do jej stóp, nawet ich nie moczając.

Vanessa dobrze wiedziała, że biorąc pod rękę tego mężczyznę, Julie czuła podobnie, doznawała tych samych emocji. Dziś wieczorem przekonała się, że teraz ona chce tego doświadczyć; w ten sposób jeszcze bardziej zbliży się do siostry, staną się współwinne, współwinne z powodu tej skóry, współwinne z powodu dotarcia do tego samego punktu, wystawione na to samo niebezpieczeństwo, na tę samą klatkę piersiową, bo to właśnie tam trzymała teraz głowę... Na piersi tego mężczyzny wczoraj spoczywała inna głowa, omotana podobnymi czarami.

Już od dawna marzyła o spotkaniu z morzem właśnie w tym miejscu i w tych okolicznościach. Trzymała głowę na piersi mężczyzny, pólleżąc, z oczami przymkniętymi.

115

Żywiła przekonanie, że ma przed sobą świat, który nie okazuje czułości, że wszystko jest skierowane przeciwko niej, i to było jeszcze bardziej niepokojące.

Inaczej się jej marzyła własna zdrada... Wyobrażała ją sobie tysiące razy, widziała, jak stapia się z jakimś mężczyzną, pięknym, nienasyconym, może nawet gwałtownym. Pograć się we dwoje w szaleństwie, w spełnionym pragnieniu... A teraz nawet się nie poruszyła. On również, tylko

leciutko gładził jej włosy. Robił to z dużym zaangażowaniem, co oznaczało, że doskonale zna wartość i znaczenie pewnych rzeczy, nie był mężczyzną, który wykorzystuje sytuację, psuje swoje pragnienie banalnymi gestami... Wręcz przeciwnie. Potrafił napawać się każdą chwilą, jakby doceniał wyjątkowość tego sam na sam, jakby doskonale zdawał sobie sprawę, że dla jego towarzyszki jest to premiera...

Ta wstrzemięźliwość wzruszała Vanessę bardziej niż wszystko inne; do pragnienia dochodziła empatia, odradzając rezerwę czy choćby wahanie... Po raz pierwszy czyjaś ręka dotykała jej z taką natarczywością, po raz pierwszy czyjaś ręka prześlizgiwała się po jej ciele, nie pomijając żadnego zakamarka. A ręka ta była bardzo stanowcza, stworzona do odwagi, wymagająca, ręka, która do niczego nie przymuszała, ale jednocześnie coś nakazywała, coś nie do odparcia, obca ręka, która w jednej chwili stała się bliska, znajoma, ręka, która zatarła w jej świadomości wszelką myśl o oporze... Teraz już dwie ręce...

W jednej chwili Boris przebył drogę oddzielającą zaskoczenie od zaczarowania, drogę od zawłaszczenia do porzucenia... Vanessa czuła, że powoli ulega, chęć oddania się przyszła tak naturalnie jak niecierpliwość, crescendo dwóch ciał, które nie mogły już czekać... Nagle go zapragnęła, poczuła też pragnienie jego ciała, ciała, którego się uczepiła, by nie czuć nacisku znajdującej się pod nią skały, a potem chciała tej innej skały, chciała, by wzięły ją obie te skały, jedna ostra i zimna, a ta druga, równie twarda jak drżąca z pożądania, skała z czułkami mężczyzny, który niósł ją w kierunku morza... Teraz opierała się o wodę, to ona była znakiem orientacyjnym, zanurzała się w totalne oddanie, chciała już tylko tego -

wdychać powietrze wieczoru i topić się troszeczkę, zebrać wodę z ust i wreszcie zaczerpnąć powietrza, a potem powrócić i nie krzyżeć, znów złapać oddech na powierzchni, unosić się w chwili przejścia prowadzącego od życia do uduszenia, ulegać, nie opierać się łokciami o powierzchnię... Zatapiała się w czymś, co już nie było wodą... Już nie bała się tych ramion, ramion, które decydowały o życiu i o śmierci, ale które unosiły ją w tym ostatnim momencie, ramion, którym w żaden sposób nie mogła się przeciwstawić... Żeglowała tak przez długi czas, z własnej skóry do morza, pozbawiona pewności, ale zachwycona całą resztą, zwłaszcza tym, że może złapać oddech.

Ten mężczyzna był latem, zarówno nagi jak ubrany, o opalonej skórze i słonych, uśmiechniętych wargach, o zbyt krótkich włosach, by mogły stanowić oparcie, ale o mocnym karku. Im bardziej wstrzymywała oddech, tym bardziej się w nią zagłębiał; w pewnej chwili zdała sobie sprawę, że nie czuje stopy, że nic ma już żadnego elementu, na którym mogłaby się oprzeć, poza nim. To on sprawił, że stał się prawem do życia i do śmierci; reszta nie miała dla niego znaczenia.

117

Julie była sama. Siedząc w migoczącym blasku świec, nie czuła się nawet zmartwiona. Czekala na nich, nic nie robiąc. Pewnie nadejdą z tamtej strony, i wtedy ich zobaczy. Najpierw będzie przeszkadzać im światło, więc będą pocierać sobie oczy. A potem przyzwyczajają się, powolutku. Podchodząc, już nie będą trzymać się za ręce, ale też nie będą nawet próbowali przybrać postawy, która miałaby świadczyć o tym, że nic się nie wydarzyło. Usiądą tutaj, może blisko siebie, a na ustach będą mieli ten

sam zwiędły uśmiech, to samo rozwiązłe zażenowanie w wyrazie twarzy. Będzie chciało im się pić.

Nie miała ochoty spać sama tej nocy.

- Boris i jak dalej? Tego nie wiedział.

- A jak dawno zniknął?
- Nie zniknął, jest w domu.
 - No dobrze. I chce pan, żebyśmy przeprowadzili śledztwo na temat osoby, której nazwiska pan nie zna i która mieszka u pana...
- Jestem zięciem pana...
 - Wiem, wiem, ale to jeszcze nie powód, żebyśmy sprawdzali nie wiadomo kogo. Gdyby chciał pan wnieść jakąś skargę, to bardzo proszę, ale tak... Nie jesteśmy biurem informacyjnym.
 - Mógłby pan przecież go przesłuchać, wypytać, ot tak po prostu, dowiedzieć się, co tu robi, sprawdzić dokumenty... No nie wiem, co jeszcze.
 - Proszę posłuchać. Jeszcze raz powtarzam, że mimo szacunku, jaki żywię dla pańskiej rodziny, nie mogę nic zrobić. Jeśli chce pan znać nazwiska osób, które u pana mieszkają, i wiedzieć, dlaczego przyjechały, to istnieje bardzo prosty sposób - radzę zapytać te osoby.

119

Żandarm wypowiedział swą radę z domieszką ironii wystarczającą do tego, by natychmiast poczuć do niego niechęć.

- Przecież pan wie, że zawsze byliśmy bardzo wyrozumiali dla całej rodziny; w zeszłym roku nawet nie

powiadomiliśmy władz o wyczynach pańskiego szwagra, a przecież, tak między nami, nie urządza się pokazu sztucznych ogni po pijanemu... Teraz raptem mam legitymować kogoś, kogo gości pan we własnym domu... A co pan właściwie ma do zarzucenia swemu gościowi?

Andre-Pierre nie odpowiedział, poczuł się obrażony. Przede wszystkim jednak nie wiedział, jak sformułować swoje podejrzenia, nie popadając w przesadę, nie wychodząc na podejrzliwego głupca czy paranoika. Przecież tak naprawdę nie miał temu typowi nic do zarzucenia, niczego konkretnego poza tym, że nie znalazł go na szkolnym zdjęciu. Jedynym zaś, co miał mu za złe, był fakt, że oszukiwał podczas gry w tenisa, że z taką swobodą spaceruje z gołym torsem, tej tak naturalnej, swobodnej ostentacji, że miało się ochotę przytrzeć mu nosa... A może wspomnieć o tym, jak kręci się koło Julie i Va-nessy? Okazać jednak zazdrość wobec wszystkich - to byłaby czysta groteska...

- I co on takiego panu zrobił?

Andre-Pierre wyszedł z posterunku żandarmerii z głową nisko opuszczoną, jakby bał się, że ktoś może go rozpoznać. Zdawał sobie sprawę, że jego posunięcie niczego nie ułatwiło. Nadal mógł liczyć jedynie na siebie samego w znalezieniu dowodów uzasadniających podej-

120

rzliwość. Trzeba zebrać wszystko razem, podjąć odpowiednie kroki, i wcale się z tym nie kryć.

Wewnątrz budynku dwóch żandarmów rozmawiało o tej sprawie,

uznając ją za świetny dowcip. Kapitan, który rankiem był w domu państwa Chassagne, uważał, że z pewnością rzecz w tym, iż gość sypia z żoną An-dre-Pierre'a; u tych ludzi zawsze chodzi o to samo, bo nic innego po prostu ich nie obchodzi.

Jego kolega chętnie zgodził się z tą opinią, ale dodał, że wyczuł w zachowaniu zdradzanego męża coś w rodzaju lęku, maskowanego strachu, jak to bywa u ludzi, którzy przychodzą złożyć skargę i wycofują się w ostatniej chwili, zdając sobie nagle sprawę z ryzyka powziętych decyzji, ludzi zdenerwowanych perspektywą przesłuchania i sporządzenia protokołu, tą semantyką i specyficznym, drobiazgowym słownictwem, które służy do opisanego przestępstwa czy zbrodni...

- Czasem jedno słowo wprawia ich w panikę.

Po powrocie do domu Andre-Pierre'a ogarnęło wzburzenie, gorączkowe podniecenie, którego nie mógł opanować. Nie zauważył nawet, że ktoś do niego coś mówi. Rodzina starannie ukrywa na co dzień swoje animozje, cała ta mała społeczność aż fermentuje od antagonizmów, ale kiedy nadchodzą wakacje i wszyscy się spotykają po długim niewidzeniu, radość i entuzjizm biorą górę, nikt nikomu nie ma niczego za złe, jakby nagle członkowie rodziny znaleźli się w pułapce mirażu, jakim staje się takie spotkanie.

Boris zszedł na dół. W założonej wreszcie koszuli imponująco prezentował się na schodach; Andre-Pierre rozpoznał jedną z koszul Diora, które podarowała mu kiedyś Vanessa, białą, skrojoną z dyskretną elegancją. Gość zdradzał roztargnienie i wyraźne zadowolenie z siebie, był na pełnym luzie, zupełnie jak u siebie. Widząc, że Andre-Pierre wrócił już z Paimpol, zaszczycił go kuksańcem, z mocno przesadzoną sympatią.

- I jak, udał się spacer?

Andre-Pierre odczuł cały ciężar podtekstu tego pytania, nie mógł jednak wiedzieć, skąd to się bierze, oczy-

122

wicie, nie mógł tego wiedzieć... Czuł się równie źle jak nieprzychylnie przyjęty gość, nie wiedział, jak się zachować, obcy w swoim rozgorączkowaniu, nieumiejący przystosować się do sytuacji.

- Napijesz się martini?

W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

- Tym gorzej dla ciebie, ja sobie naleję - oznajmił

Boris.

Obie siostry robiły coś w salonie, zaaferowane, jakby chodziło o coś bardzo ważnego, znowu piękne, niczym dodatkowa prowokacja.

Andre-Pierre postanowił, że nie dostosuje się do panującej atmosfery, i zapytał, o której ma przyjechać Philip. Matka nie знаła godziny, ale powiedziała, że syn telefonował do sprzedawcy sztucznych ogni, by upewnić się, iż wszystko zostało należycie przygotowane.

- A przy okazji prosił, żebyś po niego pojechał, bo łódź znowu jest na chodzie. Może popłynąłbyś razem z Borisem? Mam nadzieję, że nie sprawi ci to kłopotu.

Szukał pretekstu, żeby odmówić, ale matka już klepała go z wdzięcznością po policzku.

Wszyscy zaczęli go namawiać, przekonywać. Zupełnie jakby nagle zaczął się bać łodzi albo groził mu atak morskiej choroby. Problem jednakże polegał na tym, że Boris już zajął miejsce dowódcy, a Andre-Pierre za wszelką cenę chciał sam poprowadzić łódź, zwłaszcza że znalazł Rivę na

pamięć. Często pływał nią w czasach, kiedy jeszcze zalecał się do Vanessy, pływał wtedy przez całe popołudnia, penetrując najbardziej niedostępne zatoczki. Były to czasy, kiedy nie myślał jeszcze o zakładaniu kamizelki ratunkowej, czasy, kiedy nie bardzo radząc sobie w rozmowie z kobietami, potrafił przynajmniej zawieźć je w oryginalne, mało uczęszczane miejsca, prawdziwe skarby do aranżowania odpowiedniego klimatu...

W tamtych czasach to do niego należała inicjatywa, Vanessa tylko za nim podążała, nie bojąc się nawet, że zagrozi jej nuda. Była usatysfakcjonowana, no może prawie, bo skoro z góry wiedziała, że ten mężczyzna nie da jej nigdy prawdziwego szczęścia, to przynajmniej czuła się spokojna i bezpieczna... W tamtych czasach było to naprawdę wiele.

124

W rezultacie do tej eskapady zmusiły go dzieci, dzieci, które nie mogły zrozumieć, dlaczego tata nie chce popłynąć po te wszystkie wspaniałe rzeczy, piękne czerwone i niebieskie fajerwerki, które miały nazajutrz rozświetlić niebo, dlaczego chce je pozbawić tej przyjemności...

Boris czekał, niewzruszony, aż jego pasażer się zdecyduje, naciskając gaz; nie wtrącał się do rozmowy, a na ustach błąkał mu się ironiczny uśmiech. Kiedy w końcu Andre-Pierre postanowił wsiąść, Boris od razu ruszył pełnym gazem, dając mu zaledwie kilka sekund na postawienie drugiej nogi na pokładzie. Rzucony siłą rozpędu na tylną ławkę, Andre-Pierre błagał, żeby się zatrzymać, zawrócić; przerażała go myśl, że zapomniał wziąć kamizelkę ratunkową.

Dziwnym trafem czuł na plecach strumyki wody chlapiącej przez burzę, widział oddalające się sylwetki stojących na brzegu dzieci, machających

mu na pożegnanie, dzieci, których widok przesłaniały mu fontanny tryskającej wody. Boris celowo pruł fale na wylot, wydając dzikie okrzyki przy każdym podejściu, niczym kowboj podczas rodeo.

Andre-Pierre znów oceniał stopień ignorancji tego typu, którego ofiarą znowu padł. Był przekonany, że ten szalenciec spadł mu na głowę jak przekleństwo losu, jak zło, które dopada nas pewnego dnia i nie chce odstąpić... Zaczął wierzyć, iż tamten pojawił się wyłącznie po to, by go prześladować lub zrealizować jakiś swój zamiar. Nie dowierzał Borisowi, nie spuszczał go z oczu. Wydawało mu się przy tym, że ogląda jakąś sekwencję filmu, który go nie dotyczy. Siedział sztywno na ławce, przytrzymując się jej, najlepiej jak umiał, podczas gdy tamten szedł na całość. Nawet nie próbował

125

usiąść, wychylał się nad burtą, jakby chciał, by pęd powietrza chłostał go po twarzy. Szukał mocnych wrażeń...

Zaczął w końcu mówić, nie odwracając się. Andre --Pierre nie słyszał wypowiedzianych słów, a jednak był przekonany, że tamten po raz kolejny chce z niego zakpić, potraktować go jak sztywniaka, zramolałego ta-tuśka, a co gorsza, drwił z niego i zwracał się per „ty”...

Andre-Pierre wstał, żeby przejść do przodu, i właśnie w momencie, kiedy przechodził okrakiem przez ławkę, nagły wstrząs rzucił go do góry, udało mu się tak skorygować kierunek upadku, że potracił Borisa, który wpadł do wody, ciężko jak kamień, i już był daleko, w spienionym śladzie zostawianym przez łódź...

Nie ma nic gorszego niż niekontrolowane gesty, wykonywane na przekór prawdziwym intencjom. Przez moment Andre-Pierre myślał, żeby

popłynąć dalej. Przez moment żywił postanowienie, by działać, jakby nic się nie stało, ale nie był w stanie tak postąpić, zwłaszcza że nie stracił Borisa do wody świadomie; to naprawdę nie była zemsta czy akt szaleństwa, po prostu brak równowagi...

Zredukował gaz i wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Boris ciągle tam był, niezatapialny, niewzruszony, niezdradzający strachu. Zabawiał się wypluwaniem wody zalewającej mu usta, spokojny niczym pluskający się w wannie dzieciak. Andre-Pierre zbliżał się do niego bardzo powoli, z taką odrazą, z jaką kierowca podchodzi do przejechanego na drodze zwierzęcia. Nie wiedząc, jakich słów użyć w zaistniałej sytuacji, przybrał niedowierząco-zaniepokojony wyraz twarzy, jak ktoś, kto nie całkiem rozumie, co się właściwie stało. Posunął się nawet do tego, że zaczął go przeproszać za swoją niezręczność.

126

Kiedy już znalazł się blisko Borisa, wyłączył silnik, ustabilizował położenie łodzi i wychylił się, by podać mu rękę. Tamten złapał dłoń z niespotykaną, straszliwą siłą...

- I co ci, dziadku, strzeliło do łba...?!

Miał zaledwie czas pomyśleć, że powinien się cofnąć. Poczuł złość zmieszana z odrazą, ale okazało się, że już przelatuje przez burzę, wciągany przez tę dziką, zwierzęcą siłę umięśnionych rąk. Nie przypuszczałby, że woda jest tak bardzo zimna.

Ukołysane dochodzącym z plaży szumem fal i hałasem bawiących się obok dzieci, siostry zamyśliły się, wyobrażając sobie bliskie spotkanie... Jaką postawę zaprezentuje Philip tym razem? Może tę, niezbyt subtelną, nazywaną *baba cool*, która nie każe nawet ukrywać się przy wypijaniu

kolejnego kieliszka, pozwala trzymać na stole paczkę jointów? Takie drobne, dziecinne demonstracje niczym walenie grzechotką w chwilach buntu, ekstawagancje, które w gruncie rzeczy już dawno przestały kogokolwiek szokować... A może przyjmie pozę rozpieszczonego dziecka, starającego się pokazać z jak najlepszej strony, grzecznego, łagodnego syna, używającego wszelkich sztuczek, by uzyskać jeszcze rok swobody w korzystaniu z rodzinnych finansów?

Pewnie po raz kolejny okaże się, że nie można przejąć nad nim kontroli, gdyż należałoby w tym celu schować klucz od barku i nerwowo czuwać przez większą część nocy, czekając, aż lekkoduch wróci ze swej wy-

Aktywny działacz ruchu hippisowskiego, żyjący w komunie, przeciwnik wojny w Wietnamie.

128

prawy. Albo zostawić klucz na swoim miejscu, pozwolić Philipowi pić i przynajmniej spać spokojnie, wiedząc, że jest w domu...

Sprzedawca farb wcale nie był rozbawiony widokiem dwóch mężczyzn mokrych od stóp do głów, którzy w dodatku przyszli do sklepu w samym środku przerwy obiadowej. A przecież powtarzał tysiące razy, że otwiera dopiero po szesnastej i w żadnym wypadku nie życzy sobie, by zawracano mu głowę podczas sjesty. Jednak postępowanie członków tej rodziny nie było już dla niego zaskoczeniem. Poza tym miał ich naprawdę serdecznie dosyć, stracił ochotę do wyświadczenia im tej przysługi; co roku oznajmiał, że to już ostatni raz, potem sami będą musieli zamawiać sobie te wszystkie petardy i fajerwerki.

Andre-Pierre miał na sobie ociekającą wodą koszulę i także spodnie, bo nie śmiał afiszować się w samych bokserkach, jak Boris. Był tak bardzo speszony, że natychmiast zaproponował, że przyjdą później. Ale Boris już wszedł do środka, już myszkował po sklepie, zaglądał w kąty pod nieufnym wzrokiem właściciela i udawał, że nie słyszy wypowiedzianych przez niego uwag. Obszedł sklep dookoła, dotykając wszystkiego, jakby zahipnotyzowany mnóstwem interesujących przedmiotów, zafascynowany ogromnym asortymentem różnych przyborów.

Zachowywał się jak dziecko w sklepie z zabawkami. Metalowe łączniki, kable, śrubokręty, młotki, łomy, te wszystkie chromy i miedzie błyszcząły i migotały, były nowiutkie i przez to prawie drogocenne... Ważył je

129

kolejno w rękę, traktował jak prawdziwe skarby, próbował, jaki przedmiot najbardziej pasuje mu do dłoni. Ależ ten młotek jest piękny! Całkiem nowy. Na ogół młotki bywają bardziej lub mniej zużyte, rozchwiane, ale ten był nieskazitelny, ze szlachetnej stali, nieoksydowanej, z doskonałym trzonkiem z lakierowanego drewna, tępy, miażdżący i gładki jak ciało świeżo poślubionej żony... Wziął do ręki również kilka łomów, cięższych i lżejszych, z zimnego metalu. Już samo ujęcie w dłoń czegoś takiego dodawało energii, prowokowało chęć, by się tym posłużyć, nieważne wobec czego, choćby tylko po to, by otworzyć skrzynki z materiałami wybuchowymi.

Położył narzędzie na ladzie, tonem nieznoszącym sprzeciwu polecił Andre-Pierre'owi uregulowanie rachunku zarówno za łom, jak i za resztę zakupów, nie zająknąwszy się nawet słowem, że zwróci pieniądze. W nagłym przypływie brawury Andre-Pierre odmówił. Może chciał

zachować twarz wobec sprzedawcy...?

- A jak wieczorem otworzymy te skrzynki?
- No dobrze, proszę to dopisać do rachunku. Kupiec chciał jak najprędzej zakończyć całą sprawę

i zaczął sam wyciągać skrzynki i kartony. Z głębi sklepu zawołał, żeby mu pomogli. Boris bez protestu zajął się najcięższymi paczkami.

- Niech pan sobie czegoś nie uszkodzi...

Brał po dwie naraz, zanosił na nadbrzeże vis-a-vis sklepu i układał, dość chaotycznie, w łodzi, stojącej w pełnym słońcu. W tym czasie Andre-Pierre próbował znaleźć portfel i etui z kartami kredytowymi, ale nie udało mu się to. Zaczął więc przeklinać Borisa, zasypał go oskarżeniami i wymówkami, kiedy ten wrócił do

130

sklepu... Musiał to wszystko zgubić w chwili, gdy wpadł do wody, podobnie jak komórkę, której też nie było; wszystko spoczywało już pewnie na głębokości pięciu metrów...

Im bardziej roztrząsał tę kwestię, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że istnieją tacy osobnicy jak Boris, z którymi nic nie ma prawa się udać, po prostu zakazane typy, w których towarzystwie można się jedynie skompromitować bądź narazić na nieprzyjemność; każda spędzona z nimi sekunda to wystawianie się na niebezpieczeństwo.

- Daj już spokój... Zatrzymamy się tam w drodze powrotnej...
- Przecież to nie ma sensu, nigdy nie odnajdziemy tego miejsca...
- Ja znajdę. To jakieś dziesięć metrów od boi, przy dziesiątym torze wodnym. Przestań się dręczyć, wystarczy dobra maska i można

zanurkować. Hej, proszę pana, ma pan może maskę i tubę...?

Okazało się, że w tylnej kieszeni tkwi nadal karnet z czekami. Andre-Pierre szukał najmniej zmoczonego blankietu, nadającego się do użytku.

- Mam policzyć także za maskę i tubę...?

Boris uznał, że nie warto pakować ostatniego zakupu, to przecież nie prezent, trzeba go raczej od razu wypróbować. Przechodząc obok Andre-Pierre'a, spróbował włożyć mu maskę na twarz. Tym razem jednak Andre--Pierre nie dał się zaskoczyć. Sam zdumiał się swoją

131

reakcją, bo wrzasnął tak jak pewnie nigdy od czasów wczesnego dzieciństwa...

Widok pióra, które nie chciało pisać na wilgotnym papierze, dopełnił czarę goryczy sprzedawcy. Andre-Pierre, jakby starając się załagodzić sytuację, nawiązał rozmowę, usiłując przybrać swobodny ton. Spytał, o której telefonował Philip. Kupiec, machając wilgotnym czekiem, odpowiedział, że pierwszy telefon wykonany został dwa dni temu, a następny dzisiejszego ranka. Philip chciał potwierdzenia, że wszystko będzie gotowe...

- A skąd dzwonił pańskim zdaniem...?
- Stąd, do licha!
- Telefonował do pana z Paimpol?
- Telefonował...? Przecież był tu...

Widoczny przez okno wystawowe Boris, z dwiema skrzynkami na ramionach, nic sobie nie robił z długiego sznura samochodów. Udawał, że rozdaje kopniaki tym, które nie chciały się zatrzymać; zamienił ulicę w rodzaj sceny, na której odgrywał parodię walki. Czynił to z pewnością na użytek obserwujących go z tarasu kawiarni turystów, zwłaszcza dziewczyn, które od razu zdążył wypatrzeć.

- A ten łom? Myślę, że go pan nie weźmie... Nic nie szkodzi, odłożę na miejsce.
- Nie, może się przydać.
- Jak pan sobie życzy.

132

Kiedy już wszystko zostało załadowane, skrzynki jako tako ułożone na tylnej ławce, co niebezpiecznie obciążało rufę, Boris oznajmił, że idzie się czegoś napić na tarasie portowej kawiarni. Andre-Pierre zauważył cierpko, że nie można pozostawić całego arsenału ot tak, w pełnym słońcu, a poza tym nie miał zamiaru paradować w swoim przemoczonym ubraniu, z którego nadal kapąła woda. Czuł się kompletnie zbity z tropu.

Boris słuchał jego protestów z ironią raczej niż ze współczuciem, prawie ze wstrętem. Pewnie chciał znowu go sprowokować. Zdecydował już, że wstąpi na kieliszek i nic nie zdoła go odwieść od tego pomysłu. Andre-Pierre mógł sobie kwękać do woli, mógł starać się wzbudzić litość, wykręcając rękawy koszuli; po raz kolejny musiał ulec i podążyć za Borisem na taras. Poczul wtedy po raz pierwszy prawdziwą nienawiść. Nie cierpiał tego człowieka jeszcze bardziej za te wielkopańskie, nieznoszące sprzeciwu pozy, za afiszowanie luzu i beztroski, a jednak bez żadnego

oczywistego powodu, bez żadnego nakazu posłusznie szedł za nim.

Boris poprowadził go do stolika, przy którym siedziało troje młodych turystów, dwie dziewczyny i chłopak. Chłopak studiował mapę regionu z nosem zatopionym w przewodniku, dziewczyny zaś wolały przyglądać się ludziom, zwłaszcza tym, którzy wydawali się im egzotyczni. Nie były wcale skrepowane widokiem idącego w ich kierunku faceta, rozbawił je za to spieszący za nim towarzysz. Były w doskonałych humorach, czuły szybsze bicie serca z powodu swoistej brawury, niemal bezczelności mężczyzny bez wahania zmierzającego w ich stronę.

133

Już jakiś czas temu uważnie przyglądały się krzątaniu odbywającej się między sklepem i łodzią, a potem corridzie Borisa wśród samochodów. Siedzący z nimi młody człowiek wydawał się nieco bezradny i zakłopotany, a czekała go jeszcze jedna przykrość: musiał się trochę przesunąć, by Boris mógł się wygodnie rozsiąść.

Pogodnie uśmiechnięty, usadowił się między dziewczynami i z dość niezręczną finezją stwierdził, że pewnie są Amerykankami, na co natychmiast zareagowały wybuchem śmiechu. Ależ on jest groteskowy! - pomyślał Andre-Pierre.

W dość kulawej francuszczyźnie spytały Borisa, czy to jego łódź. Skinął ochoczo głową, przybrał królewską minę i zaproponował przejażdżkę po wypiciu drinka. Andre-Pierre nie posiadał się ze zdumienia.

- No dobra, czemu tak stoisz, siadaj tu razem z nami... — usłyszał.

Jakby ogłaszając radosną nowinę, Boris oznajmił, że dobrze zna Stany,

był tam całkiem niedawno. Od razu stworzyło to przyjazną atmosferę, nie wzajemnej sympatii. Muskał dziewczyny uśmiechem, do chłopaka puszczał porozumiewawczo oko i spytał wszystkich, czego by się napili.

Chłopak chciał wiedzieć, co jest w paczkach i skrzynkach zaniesionych do łodzi.

- Bomby do wysadzenia w powietrze terrorystów! —
odpowiedział Boris, świdrując go wzrokiem.

Młody człowiek poczuł się niemal winny, aż się zarumienił. Uznał jednak, że najlepiej wybuchnąć śmiechem, bo w końcu otrzymał tylko odpowiedź na swoje pytanie.

134

Andre-Pierre obserwował uważnie tę jego porażkę, widział w niej własną słabość. Poczuł, że solidaryzuje się z Amerykaninem.

- No więc, co możemy wam postawić...? - dopytywał się Boris.

Naradzali się we troje, czego chcieliby się napić. Boris szybkim spojrzeniem wysondował Andre-Pierre'a w sprawie gotówki i nie czekając na odpowiedź, rozwiął atmosferę niezdecydowania, rzucając głośno:

- Szampana!

W miarę jak Andre-Pierre obserwował Borisa, czuł jego niezaprzeczalny wpływ i wyciągał ostateczne wnioski na jego temat. Po raz pierwszy pomyślał o tym, jak bardzo musiał być bezradny wobec tego faceta Philip. Ani przez chwilę nie wyobrażał sobie szwagra stawiającego czoło temu typowi, ani przez chwilę nie przemknęło mu przez myśl, że Philip mógłby choćby pomyśleć o oporze... Przy Borisie bardziej niż przy kimkolwiek

innym musiał sprawiać wrażenie dzieciaka, słabej istoty, podatnej na wpływy i bez wątpienia im uległej. Nawet jemu, Andre-Pierre'owi, już przyszło za ro zapłacić... A z Philipem Boris z pewnością robił, co chciał, zwłaszcza z nim... Istnieją tysiące sposobów wywierania wpływu na ludzi, szczególnie na kogoś takiego jak Philip, który pewnie nawet się nie orientował w tym, co się dzieje... Może zresztą należał do osób, które muszą mieć kogoś, kto nad nimi dominuje?

Facet, który potrafi poderwać każdą napotkaną dziewczynę, facet umiejący zmusić właściciela do otworzenia sklepu przed końcem przerwy obiadowej, facet, któremu

135

udaje się oczarować całą rodzinę i jednomyślnie zostać przez nią przygarniętym, i to zaledwie w ciągu dwóch dni, ten facet z pewnością robił z innymi wszystko, co zechciał.

Po raz pierwszy Andre-Pierre zaczął żywić współczucie dla szwagra. Wyobrażał sobie Philipa znajdującego się pod przemożnym wpływem tego łajdaka, i nagle poczuł z nim bliskość. Przeszyła go myśl, równie wzruszająca, co nie do przyjęcia, że pod tym względem są do siebie podobni, tak samo bezbronni i wrażliwi, tak samo też godni pogardy. Poruszony do żywego tą refleksją, wstał powoli, okazując ostentacyjnie, że zamierza odejść. Twardym tonem oznajmił Borisowi, że wraca do domu, nie zamierza pić i ma dosyć siedzenia na tarasie...

Boris odpowiedział drwiącym uśmiejchem, pokazując kluczyki od Rivy. A potem lodowatym tonem wyszeptał, by usiadł i nie przeszkadzał kelnerowi, który właśnie nadszedł z tacą pełną kieliszków ustawionych

wokół butelki szampana...

Pozbawiony został praktycznie wszystkiego, nieubłagane postawiony w sytuacji, która go przerastała, nie miał innego wyjścia prócz uległości...

Jeszcze raz powróciły do niego wszystkie te obrazy, te nieznośne, obrzydliwe wspomnienia, kiedy był dzieckiem i kiedy zmuszano go do założenia idiotycznych krótkich spodenek i kazano biegać za piłką...

Pomyślał też o tym wszechobecnym spoufaleniu, tej atmosferze ciężkiej niczym zły dowcip,

136

tym aroganckim sposobie, w jaki wszyscy wyrażali radość z prostego faktu, że zaraz wyruszą na stadion...

Wtedy jedyną jego reakcją była szybka, niegroźna kontuzja, pozwalająca mu wrócić do szatni. Tam się przebierał i czekał na pozostałych, siedząc na ławce w kompletnym bezruchu. Wiedział, że kiedy wróca, ogarnie go wstyd i nieśmiałość, że po raz kolejny okaże się, iż wygląda śmiesznie - jedyny ubrany wśród obnażonych i spoconych ciał, które z ochotą porównywano pod prysznicem. To dlatego byli tacy nieznośni...

Obiecywał sobie, że zemści się na nich pewnego dnia. Jedynym źródłem ich arogancji był fakt, iż posiadali ciało i nie cierpieli...

Hej, staruszkule, obudź się wreszcie!

Andre-Pierre podskoczył wśród głośnego wybuchu śmiechu, trochę nieprzytomny. To właściciel kawiarni wołał do niego z końca baru, wymachując w desperacji telefoniczną słuchawką. Ktoś dzwoni. Do niego. Z hotelu naprzeciwko.

• Halo...

- Philip...?

- Każda na swoim dmuchanym materacu, siostry dały się unosić łagodnym ruchom wody, które powoli przemieszczały je z jednego końca basenu w drugi; nie wymagało to żadnego wysiłku, wystarczyło odepchnąć się nogą od brzegu. Dzieci, w kołach ratunkowych, bawiły się na stopniach schodów zanurzających się w wodzie, chlapiąc się i wydając okrzyki radości. Słońce powoli zachodziło, ustępując miejsca cieniom, czas jakby stanął w miejscu. To była ulubiona przez Julie i Vanessę pora dnia. Wystawiały ciała na swoisty zabieg kosmetyczny, jakim było utrwalanie opalenizny, nadając jakiś sens ogarniającej je nudzie. Od czasu do czasu podmuch wiatru zmieniał kierunek gumowych materaców, kierując je bądź ku brzegowi basenu, bądź na jego środek. Było to miłą rozrywką.

O tej porze dnia hałasy dobiegające z plaży stawały się coraz cichsze. Nie były to już radosne okrzyki i odgłosy mierzenia się z falami, ale raczej łagodny szmer rozmów, unoszących się ponad brzegiem, wrzucanych w zapadający zmierzch. Matki, zbierające przyniesione ze sobą rzeczy, kręcące się wśród ubierających się dzieci,

138

wyschnięte ciastko w ustach, przybijające do brzegu łagodne fale i jacyś marzyciele, którzy poznali smak kąpieli w opustoszałym morzu. Wszystko powoli cichło.

Na wodach zatoki nie było już także łodzi. Skończyło się pływanie w najrozmaitszych kierunkach; natrętne jak komary stateczki przycumowały gdzieś w przystani... Łodzie stały już spokojnie na piasku plaży lub zacumowane na środku zatoki, wszystkie ustawione wzdłuż jednej osi. Ciepły

szmaragd sosen na różowym granicie, refleksy ostatnich promieni słonecznych na połyskującym kwarcu... W tej wszechogarniającej ciszy rozległ się odgłos będący dźwiękiem silnika zbliżającej się Rivy, przecinającej znieruchomiałą zatokę, wyłaniającej się zaa ostatniej bariery podwodnych skał. Hałas silnika wydawał się teraz bardziej niż poprzednio chrapliwy, pewnie z powodu dużego obciążenia.

Widząc reakcję matki, dzieci natychmiast zrozumiały...

- Już są, już są...!

Vanessa podeszła bosu na skraj trawnika. Z daleka widać było mahoniowy, lśniący w ostatnich promieniach słońca kadłub łodzi, sunącej po gładkiej powierzchni bez najmniejszego wstrząsu. Było ich dwóch na pokładzie - stojący na dziobie Philip, a za szybą zarys sylwetki tego drugiego, kierującego. Vanessę ogarnęła radość, kiedy rozpoznała brata, Julie też się podniosła, także chciała to zobaczyć, machać powitalnie rękami. Obydwie śledziły uważnie ruch łodzi napędzanej ośmioma cylindrami, wsłuchiwały się w niski pomruk, brzmiący teraz w sposób nadzwyczaj uroczysty. Ze względu na okoliczności obiad podano bardzo wykwintnie. Dodatkowe srebrne świeczniki, zapalone re-flektorki w głębi basenu - wszystko dla zaznaczenia uroczystej chwili. Po raz pierwszy Andre-Pierre i Philip spontanicznie usiedli obok siebie.

Uszczęśliwiona matka rozkoszowała się tą nagłą zażyłością obydwu mężczyzn, zwłaszcza że i zięcia chciała traktować jak syna; widziała w tym nagłym ich zbliżeniu rezultat swoich zabiegów wobec Andre-Pierre'a. Od tak dawna czekała na podobny widok... Może nawet nie mieli zostać przyjaciółmi, ale widać było, że są pogodzeni. W jakimś sensie byli

wspólnikami. A tego wieczoru zdawali się ponadto podobni do siebie przynajmniej pod jednym względem - tak samo trudno było im usiedzieć przy stole, obydwaj wyglądali na równie nieobecnych, mieli takie samo zmęczenie w oczach...

- Ależ to wszystko ciężkie, ta cała maszyna - powtarzał Philip, jakby chciał uzasadnić zmęczenie...

Wysięk, żeby przełożyć skrzynki z łodzi na ponton, potem zaciągnąć je do małej zatoczki, a w końcu wnieść na skały... Byli wykończeni.

140

Ojciec i matka wyrażali wielki żal, że Boris nie uczestniczy w tak dobrym posiłku.

Philip zauważył rozczarowanie obu siostr, kiedy oznajmił, że Boris nie przyjdzie, bo wolał zostać na kontynencie i widać było, że wcale nie grozi mu tam nuda... Zauważył również przez chwilę wyraz przykrości malujący się na twarzy ojca, tak zwykle zdystansowanego do wszystkiego, tak zazwyczaj kontemplującego własną bezceremonialność... A oto, niespodziewanie, zdawał się szczerze zmartwiony nieobecnością jednego z biesiadników ...

- Chyba nie zamierza nocować w mieście, przecież nie wziął swoich rzeczy... Wydaje mi się nawet, że pojechał bez koszuli, z nagim torsem.

Wszyscy zgodzili się z tym spostrzeżeniem, wszyscy byli przekonani, że widzieli gościa odpływającego bez podkoszulka, z gołymi plecami...

- Chyba nie będzie paradował przez całą noc w krótkich spodenkach...?

Bez większego przekonania Andre-Pierre i Philip odpowiedzieli, że

Boris z pewnością wróci w nocy, może nieco późno, ale na pewno przybędzie... W każdym razie jest to przecież facet, który potrafi poradzić sobie nawet w trudnej sytuacji, zdoła więc znaleźć jakąś garderobę, nawet bez grosza przy duszy i przy zamkniętych sklepach.

Trudno było niczego nie wyjawić, nie okazać niepokoju. Trudno było zminimalizować pojawiające się straszne przeczucie wypadku. Philip często doznawał tego uczucia podczas pierwszych dni pobytu w więzieniu - tego występującego znienacka niedowierzania, niemożności przyjęcia faktu do świadomości, niemożności dopuszczenia

141

myśli, że jednak to, co się stało, stało się naprawdę. Ciężko przychodziło pogodzić się z sytuacją...

- W każdym razie mam nadzieję, że nie pokazaliście mu naszego przejścia, mam na myśli *cuisse des dames*... Ten młodzieniec ma tyle odwagi, że mógłby spróbować dotrzeć tu tą drogą... Może bezpieczniej byłoby popłynąć po niego, nie sądzicie?
- Nie martw się, tato, nic mu nie grozi... A poza tym on jest doskonałym pływakiem.
- Możliwe, ale pomimo wszystko te przyływy i odpływy... Nigdy nie wiadomo... Może na przykład wypić trochę za dużo.

Wieczór włókł się leniwie. Jego rytm wyznaczało migotanie świec i granie świerszczy. Philip skoczył do basenu, twierdząc, że wciąż czuje się zmęczony podróżą i ciągle jest trochę zdenerwowany. Było tak ciepło, że Andre-Pierre poszedł w jego ślady.

Przepłynęli trzy długości basenu i położyli się na pływających deskach,

doskonale zsynchronizowani; słychać było tylko delikatne pluskanie wody, jak w wannie. Siedzące nadal przy stole siostry prawie nie rozmawiały, grając w bierki i zerkając od czasu do czasu na dwa, tak dobrze znane im, ciała.

Już od dawna trwał odpływ, morze było wyjątkowo niskie, niższe niż zazwyczaj; wkrótce zacznie się podnosić, jak zwykle szybko, podczas pierwszych godzin przyływu. Można było ocenić jego prędkość, obserwując wodne jęzory muskające powierzchnię, falowanie w przeciwnym

142

kierunku, czasem całkiem płaskie, i miejsca, w których morze wydawało się niemal gęste i połyskliwe jak laka. Morze będzie się podnosić w ciągu najbliższych sześciu godzin, zatapiając wszystko, wypełniając misę zatoki, zmywając z plaży ślady, ścierając wspomnienia przechadzek, zmieniając całkowicie krajobraz, tworząc jednocześnie własny. I jak za każdym razem, wyniesie na brzeg tysiące znalezisk, niestosownych przedmiotów, które zakończą swoją podróż na plaży, przystrojone w algi i oblepione piaskiem, by następnego ranka zaspokoić ciekawość największych nawet próżniaków. Philip chyba jednak się zmienił... Tak w każdym razie pomyślała matka, gdy odkryła, że wstał wcześniej niż ona. O dziewiątej był już przed domem, na brzegu skał, skąd obserwował zatokę przez lornetkę ojca. Musiała zawołać go dwa razy, zanim usłyszał. Kawa była gotowa.

Mówił, że nigdzie, a w każdym razie w Stanach, nie dostrzegł takiego pięknego krajobrazu, takiego widoku... Poza tym nie ma już zamiaru tam wracać. Nigdy. Koniec. Kropka. Słyszając to, matka sądziła, że to tylko

kawał; od tak dawna marzyła o podobnej nowinie, że teraz wydała się jej wręcz niewiarygodna. Naprawdę po raz pierwszy syn sprawiał jej przyjemność, zwłaszcza tak wczesnym rankiem.

Posmarował pieczywo masłem, zauważając przy okazji, że matka nie zapomniała o jego ulubionej, grillo-wanej bagietce, ale zanim umoczył bułkę w kubku kawy, zapytał jakby od niechcienia, czy Boris wrócił do domu.

- Ja go nie słyszałam - poinformowała matka. - Wiesz, myślę, że ten chłopak jest trochę podobny do ciebie, wstaje późno; nie wygląda na rannego ptaszka.

144

Opowiedziała zaraz, jaki przeuroczy jest ten jego kolega, jaki miły. Bardzo starał się ukazać z jak najlepszej strony, pełen kurtuazji, radośnie czekał na przyjazd Phi-lipa. Gościć go to prawdziwa przyjemność.

Dodała, iż to bardzo dobrze, że Philip postanowił odnowić stare przyjaźnie, bo może to korzystnie na niego wpłynąć. Powinien spotykać się z takimi chłopakami: zdrowymi, wysportowanymi, a przede wszystkim solidnymi.

Moczył swoją bułkę w kawie. Po raz kolejny rezultat postępowania Borisa wywarł na nim ogromne wrażenie, zwłaszcza że tamten dokonał tego w ciągu zaledwie dwóch dni.

- Wiesz, tak między nami, myślę, że on i Julie...

Nie jestem pewna, ale...

Coraz lepiej, pomyślał.

Zwłaszcza że mówiąc to, matka jakby pojaśniała, była wyraźnie zadowolona.

- Mamo, kiedy on tu przyjechał, umieściłaś go w błękitnym pokoju?
- Tak, a dlaczego pytasz?
- To dlaczego okiennice są tam zamknięte?
- Czy ja wiem? Pewnie śpi...
 - Ale o drugiej w nocy, kiedy szliśmy spać, były otwarte...
 - Sądzę, że musiał je zamknąć, gdy wrócił do domu... Pewnie poszedł spać jeszcze później niż wy.

Coś się tu nie zgadzało.

Bułka rozpuściła się w letniej kawie. Philip już nie miał ochoty na jedzenie; musiał koniecznie sprawdzić, co dzieje się na piętrze.

- No i co, nie zjesz?

W niszy wydrążonej w skale górującej nad zatoczką, w której tylko niewielu urlopowiczów zarzuciło kotwicę, Andre-Pierre i Philip ustawili paczki z racami i fajerwerkami na wieczór. Najpierw musieli wnieść skrzynki na szczyt, potem opuścić je za pomocą specjalnego kołowrotka, bardzo delikatnie, wzdłuż skalnej ściany, i do tego w pełnym słońcu...

To Philip był tu szefem, Andre-Pierre zadowolili się podawaniem mu tych wszystkich tub. Był jeszcze bardziej ostrożny niż zazwyczaj, przerażony wprost myślą, że manipuluje materiałami wybuchowymi. A poza tym przyszło mu znosić wymówki szwagra, i to od samego rana; teraz miał już serdecznie dosyć.

- To czysta groteska, co ci strzeliło do głowy, żeby to zrobić...?
- Pomyślałem, że wszyscy będą sądzili: *no tak, okiennice są zamknięte, więc z pewnością tam jest...*
- I pewnie uważałeś, że będą tak sobie powtarzać przez cały dzień? Co? Cały dzień wszyscy będą spoglądać na jego pokój i upewniać się: *no*

tak, okiennice są zamknięte, to znaczy, że on tam jest? I wszyscy spędzą

146

dzień, zadając sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie spał..

- Przecież mógł spędzić tu noc, ale wyjechać wczesnym rankiem. Niby dlaczego nie...?

Andre-Pierre kręcił jak uczeń, który traci grunt pod nogami wobec zmęczonego jego głupotą nauczyciela. Sam już zresztą nie wiedział, czy dobrze zrobił, zamykając te cholerne okiennice, gubił się we własnych myślach. Nie był nawet w stanie przypomnieć sobie, dlaczego uważał, że to dobry pomysł. Tak jak nie wiedział, czy było może za gorąco, czy też ogarnął go strach, a może poczuł zapach prochu... Ogarnęło go straszliwe przeczucie... Na szczęście, Philip stanowił pewne oparcie, napawał otuchą, Philip niespodziewanie zdecydowany i odważny; to znak, że pobyt w więzieniu rzeczywiście go zmienił...

• A jeśli tak...

- Skończ nareszcie z tymi hipotezami... I tak już za późno, żeby wszystko odkręcić.

Dla Philipa najważniejsze było pozbycie się faceta, tego łajdaka, który stał się jego obsesją, który zatrął mu każdą, najdrobniejszą nawet myśl. Najważniejsze było teraz wydobyć z ukrycia swej nienawiści, tego zardzewiałego, tkwiącego w świadomości ostrza i zamiana go w zbrodniczy czyn, może trochę odroczonego, ale usprawiedliwionego. Z czasem rana przestanie boleć.

- Jesteś pewny, że on nie ma rodziców ani nikogo innego, kto mógłby się niepokoić...

- Podaj mi te kable, ruszaj się prędzej!

Dobrodziejstwem byłaby umiejętność dodania sobie otuchy, pozbycie się natrętnych, szkodliwych myśli. Od wczorajszego wieczoru próbował uczepić się optymiz-

147

tycznej myśli, chciał nadać wszystkiemu ustalony porządek, dodać sobie odwagi. Ale zalewała go fala upału, pocił się i znowu poczuł się jak w pułapce, osaczony dziesiątkami pocisków umieszczanych w litej skale, która także zdawała się kipieć albo była bliska wrzenia, gotowa zaraz wybuchnąć. Jeszcze trochę i wszystko wybuchnie.

- Nie mogę, rozumiesz? Tego typu sytuacje kompletnie mnie przerastają! Już nie mogę.
- Uważasz, że ja mam z tym do czynienia na co dzień... ?
- Ty to co innego. Miałeś go na karku przez całe miesiące, a poza tym, gdy ma się za sobą więzienie, nie patrzy się już na pewne sprawy tak jak wcześniej.

Andre-Pierre był święcie przekonany, że człowiek, który siedział w więzieniu, staje się zupełnie inną jednostką, wynaturzoną; może stać się tylko drapieżnikiem, wściekłym, zbrukanym żółcią szaleństwa, cieniem przesłaniającym jasne strony życia. Widział zresztą, że Philip nie jest już taki jak przedtem. Więzienie uczyniło go twardszym, jakby otrzymał magiczną szczepionkę, chroniącą przed strachem czy gniewem, uodparniającą na wszelkie emocje.

Philip z kolei uważał, że stał się jeszcze słabszy, naznaczony ponadto potępieniem, ciężkim grzechem, którego świadomość nie opuszczała go ani na chwilę. Miał poczucie zagłady już w pierwszych chwilach pobytu w

więzieniu, kiedy słyszał, że ma stanąć tu i tu, nie ruszać się, prosić o pozwolenie pójścia do toalety... Nigdy nie był w stanie zrozumieć, jak kilka przeklętych gramów mogło pogrążyć go w takim bagnie. Każdego ranka po przebudzeniu kłębiło mu się w głowie to samo zdanie: nie wierzę. Zaczynał wtedy dygotać, płakać, ry-

148

czeń jak dzieciak, który błaga, żeby zakończyć okrutną zabawę, bo już nie chce się bawić... Ale w tamtym świecie kaprysy nie znajdują żadnego oddźwięku. Siedzące tam typy były zahartowane i uodpornione, ich serca wydawały się twardsze od betonu. Więźniowie i klawisze łązili bez swetrów, chociaż panował ziąb, a jemu przez całą zimę było bardzo zimno; musiał jeść, spać i sikać w przejmującym chłodzie, i kiedy inni mieli obsesję na punkcie dorwania się do telefonu komórkowego, papierosów, kawałka skręta czy innego gówna, on chodził do kantyny, żeby kupić węgiel w kostkach, wszystko po to, by jakoś przetrwać, uodpornić się, nie musieć wyć, wzbudzając politowanie...

W pierwszym okresie z Borisem wiązał nadzieję. Tak twardy typ, niewzruszony, inteligentny dawał do zrozumienia, że nie jest taki jak inni. W tym zamkniętym świecie był jedynym spójnym elementem, jedynym człowiekiem, z którym można było naprawdę porozmawiać, a nawet powiedzieć za dużo, za bardzo się otworzyć, przedstawiać przyszłość jako dozgonną wdzięczność, zabiegać o jego protekcję jakby o zapowiedź przyszłych zysków, w myśl starej zasady, że kto nie smaruje, ten nie jedzie... Philip zdawał sobie sprawę, że popełnia błąd, okazując, jak bardzo jest słaby, skłonny do wszelkich ustępstw; od samego początku wyczuł,

jakim niebezpieczeństwem jest szukanie pomocy u tego właśnie faceta, oddanie się pod jego opiekę. Zastanawiał się, czy pewnego dnia nie będzie musiał spłacić długu i jak słono może go to kosztować. Bał się tego, ale mówił na ten temat niby żartem, uśmiechając się.

149

- Może masz rację, ale ty myślisz o tym od wielu miesięcy, od miesięcy rozmyślasz o tym facecie, a ja jeszcze dwa dni temu nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. .. A poza tym to są twoje sprawy, nie moje... -rzekł Andre-Pierre
- Teraz także twoje.

Ta scena prześladowała Andre-Pierre'a, otoczenie bez przerwy mu ją przypominało. Boris, który nie przestawał wynurzać się z wody, wystawiał głowę dla zaczerpnięcia oddechu, szukając skrupulatnie portfela i kluczy. Dla niego była to kolejna okazja do popisywania się. Za każdym razem, kiedy schodził na dno, Andre-Pierre nie mógł się oprzeć pokusie. Widział, jak ciało nurkującego staje się coraz bardziej niewyraźne... Niechby już nigdy nie wypłynął, koniec z pomocą, koniec z prośbami, koniec z... Nie musiał zresztą nawet próbować zrozumieć własnych myśli, bo Philip już uderzył, Andre-Pierre wskazał mu łom. Zostali współnikami.

Najmądrzej byłoby zacząć od nowa, przewinąć film, wszystko dokładnie obejrzeć, cofnąć się o dwa dni i uniknąć tego...

- Co się stało, to się nie odstanie, na miłość boską!

Przestań się w końcu mazać, albo porycz sobie raz a dobrze i już o tym więcej nie mówmy. Teraz mi po prostu pomóż...

Andre-Pierre podawał mu fajerwerki, jeden po drugim. Philip skoncentrował się na pirotechnice, zajmując się tym z zimną krwią, niemal z rozkoszą, jakby nadzwyczaj mu odpowiadał ten typ niebezpieczeństwa, jakby

150

to była dla niego czysta przyjemność, jakaś łaska - to przebywanie wśród tych wszystkich małych bomb z opóźnionym zapłonem. Było tak, jakby czerpał radość z bratania się z niebezpieczeństwem - czy będzie to ogień, proch, czy też wspomnienie Borisa. Dlaczego by nie...? Andre-Pierre'em wstrząsały coraz silniejsze dreszcze. To wynik skrajnych emocji, nocy spędzonej na czatowaniu na hałasy z zewnątrz, efekt przymusu, który odczuwał od samego rana, a który kazał mu ciągle spoglądać na zatokę i wypatrywać. Zdawał sobie sprawę, że oto stał się współnikiem lekkoducha... Na samą myśl o tej wspólności, pewności, że ta przerażająca sprawa będzie mu towarzyszyć przez całe życie, mdliło go, miał ochotę wymiotować.

- Gdyby, zupełnym przypadkiem, coś poszło nie tak, błagam cię, nie mieszaj mnie do tego. Dam ci wszystko, czego zażadasz, ale powiedz, że nie brałem w tym udziału. To ty go zresztą uderzyłeś, ja ci tylko pokazałem ten...

Philip nagle zszedł ze skały, niemal się zsunął, chwycił obiema rękami głowę Andre-Pierre'a, otworzył mu szeroko usta i wsunął między szczęki racę, niczym cygaro; w palcach trzymał zapalniczkę...

- A ile mi dasz, żebym tego nie podpalił? Co? No dalej, podaj cenę... Powiem ci teraz, co chciałbyś usłyszeć...

szeć. Pod tymi wszystkimi pozorami jesteś taki sam jak on, równie obrzydliwy, „świat jest mi to winien”. Jediną różnicą jest to, iż sądzisz, że wszystko można kupić, natomiast on uważał, że wszystkim można się posłużyć...

Pod koniec popołudnia wypili po szklaneczce na tarasie. Domownicy liczyli na to, że Boris pojawi się na obiedzie, nikt w to nie wątpił. Pewnie spędził noc u jakiejś panienki, a teraz, jako zdobywcy, nie przyniesie go wartki nurt Gulf Streamu, lecz iście cesarskie życzenie uczestniczenia w święcie.

Philipowi i Andre-Pierre'owi pewność, z jaką wszyscy mówili o rychłym przybyciu Borisa, przynosiła ulgę. Vanessa dosyć dobrze zniosła myśl o zmysłowej eskapadzie, jeśli było tak rzeczywiście; uznała ją nawet za zabawną. Julie natomiast, bardziej zadumana, starała się okazywać brak zainteresowania, źle jednakże maskując rozczarowanie.

W tym właśnie tkwi czar wczesnych lipcowych wieczorów. Słońce stoi jeszcze wysoko, ale świeci mniej agresywnie, rozmowa iskrzy się nad schłodzonymi kieliszkami. Dzień przeszedł dobrze, i to jest najważniejsze, wszystko inne można potraktować jak czystą rozrywkę, w innym wymiarze, w innych ubraniach. To dlatego wszyscy pójdą wziąć prysznic przed posiłkiem, należy się przebrać na wieczór.

152

Rodzina wróciła więc do domu. Philip i Andre-Pierre zostali sami, twarzą w twarz, każdy ze swoimi myślami, nie odzywając się ani słowem, scaleni swoistym paktem.

Słońce oświetlało ich obu niczym lampa projektora. Na tej samej świetlnej osi znajdowało się wejście do parku, płaszczyzna parasola, a

wszystko niczym złociste, słoneczne halo. To powinien być idealny wieczór na pokaz sztucznych ogni - żadnej chmurki, żadnego powiewu wiatru, niebo było równie spokojne jak morze.

Z przymkniętymi oczami obydwaj mężczyźni rozkoszowali się tą wspaniałą godziną, z kieliszkiem szampana w ręku. Słońce rzucało złote refleksy na stojący na stole kubełek z lodem. Dolewali sobie, stukając się leniwie pucharkami, jakby świętowali zwycięstwo, jakby zapanował wreszcie pokój po wygranej bitwie. Rozkoszowali się odpoczynkiem wojownika.

To ten dziwny cień ich zaintrygował.

Niech jakaś sylwetka pojawi się za żelaznym ogrodzeniem, gdzieś w głębi waszego parku, i niech ten cień przesuwa się w waszym kierunku, nieskończenie wydłużony, jak plama na nieskazitelnym świetle, natychmiast zrodzi się w was poczucie nieufności.

O tej popołudniowej godzinie słońce niemiłosiernie grzało taras. Philip i Andre-Pierre, przesłaniając ręką oczy, próbowali zgadnąć, kto nadchodzi, rozpoznać zbliżającą się sylwetkę, nie dowierzając własnym oczom... Mężczyzna był jeszcze dość daleko, szedł, nie zatrzymując się, poruszał się powoli, ale wciąż się zbliżał... Philip podniósł się, podczas gdy Andre-Pierre siedział jak sparaliżowany. Jeszcze nigdy dotąd nie odczuwał takich skurczów.

Przybysz szedł swobodnym, lekko nonszalanckim krokiem, charakterystycznym dla ludzi, którzy wiedzą, że są obserwowani. Refleksy światła odbijające się w jego okularach Ray-Ban przesuwały się z jednego planu na drugi - na szmaragdową zieleń trawnika, mieniając się niczym aksamit, willę Trianon z białego kamienia,

basen u podnóża schodów, pływające w nim przezroczyste fotele, leżaki z drzewa tekowego, tym razem puste.

Trudno odgadnąć intencje człowieka, jeśli nie widzi się jego spojrzenia. Wtedy zaczyna się odczuwać strach, wychodzą na jaw wszystkie obawy i lęki. W miarę jak cień podchodził coraz bliżej, Andre-Pierre i Philip dostrzegali swoje własne odbicia w okularach Ray-Ban; wyglądali w nich bardziej bliźniaczo niż kiedykolwiek przedtem. Zobaczyli, jak wstają, prawie się nie ruszając. Nie byli w stanie wymówić słowa.

Kiedy przybysz zbliżył się do nich, szeroko się uśmiechnął, czy raczej jego twarz przybrała wyraz mięsożercy, czego nie sposób od razu zauważyć, bo uśmiech wydaje się najpierw zupełnie niewinny. Mieli nawet idiotyczny odruch, żeby podać temu człowiekowi rękę...

Nie odpowiadając na ten gest, wziął krzesło, ustawił je tuż obok nich, pod parasolem, podniósł kieliszek i wyciągnął go w ich stronę, jakby oczekiwał, że mu naleją, jakby przyszedł tylko po to...

- No więc, na czym to stanęliśmy...?

Tylko ojciec obserwował całą scenę ze swojego pokoju, tak jak niegdyś czatował na dziki z okien posiadłości, bo w człowieku tkwi niedowierzanie, nieufność, zwłaszcza w myśliwym, który nie przestaje marzyć o zwierzynie.

Z wybiciem godziny dwudziestej sprzedawca farb wyszedł przed sklep, żeby zasunąć metalowe żaluzje. Na zewnątrz panował jeszcze większy upał niż w środku. Rzucił wzrokiem na nadzwyczaj przejrzyste niebo, bez żadnej chmurki, na którym widniał tylko doskonale równy ślad lecącego wysoko samolotu, prosty i nieskazitelny. Nie było żadnego podmuchu,

który mógłby zakłócić tę równość. Nie było też żadnego hałasu oprócz krzyku polujących wysoko szpaków. I właśnie w tym momencie usłyszał dochodzący z wyspy odgłos detonacji. Najprawdopodobniej to raca, pierwszy z fajerwerków, jakie miano wystrzelić w posiadłości państwa Chassagne. To jednak dziwne, by zaczynać pokaz sztucznych ogni teraz, kiedy jeszcze daleko do zmroku. Popatrzył w kierunku wyspy, ale nie dostrzegł żadnego blasku, najmniejszego nawet błysku.

Tego wieczoru nastąpiła tylko jedna detonacja, jeden strzał, który nie wywołał najmniejszego błysku, najmniejszej iskry, najmniejszej oznaki radości.